

STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
Królewska 29A, tel. 301-62
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz
sobót i niedziel — Redakcji 11.—13.
Administracji 17.—19.

Rękopisów nie zwraca się.

Numer zamyka się w środę

ANTYSEMIECIE NA DRZWIACH.

JAK TO? WYBRALIŚCIE CNOTE I NIESKAZIŁELNOŚĆ PRZEKONAN A ZA-
RAZEM BIERZE WAS CHĘTKA NA KORZYŚCI? — ALEŻ CNOTA ZRZEKA SIĘ
KORZYŚCI...

FRYDERYK NIETZSCHE

14 marca 1937

WARSZAWA

2 Nissan 5697

Dr. M. KLEINBAUM

Obóz w Polsce czy Polska w Obozie?

Mija trzeci tydzień od dnia ogłoszenia deklaracji ideowo-politycznej pułk. A. Koca, od dnia, który zapowiedziany był, jako przełomowy dla wewnętrznej polityki Polski. Jakież są dotychczasowe rezultaty.

Ze strony zorganizowanej opozycji zadana, nawet najmniejszy oddział nie przeszedł do t.zw. Obozu Zjednoczenia Narod. Owszem, na deklaracje odpowiadały deklaracjami. Oświadczenie CKW. PPS. i Komisji Centralnej Związku Zawodowych, jako też rezolucja Stronnictwa Ludowego o stosunku do nowego obozu świadczą, że opozycyjny front robotniczo-włościański pozostaje niewzruszony. Co więcej, syndykalistyczny Z.Z.Z., do niedawna podpora „sanacji” na odcinku robotniczym, na ostatnim zjeździe pod przewodnictwem Jędrzeja Moraczewskiego ostatecznie zerwał z byłymi ojusznikami sanacyjnymi, i prawie jednogłośnie opowiedział się przeciw obozowi plk. Koca. Słowem — z lewicy nikt nie „przeszedł”.

A na prawicy? — O.N.R., któremu główny „komentator pisma świętego”, plk. Miedziński, tak bardzo kadził ostatnio, oferty nie przyjął. Artykuły w „A. B. C.”, a więcej jeszcze ostre uchwały oenerowskiej większości Bratnich Pomocy na uczelniach mówią wyraźnie, że Obóz na akces młodego ruchu narodowo-radykalnego nie ma co liczyć. Bardziej jeszcze nieprzejednane stanowisko wobec inicjatywy plk. Koca zajęło Stronnictwo Narodowe, którego sekcja akademicka w walce z O.N.R. zarzuca mu nawet udział w listopadowych uroczystościach ku czci Marszałka Śmigłego-Rydza. Główne pnie prawicowej opozycji nie zdobyły się więc nawet na najmniejszy choćby ukłon w stronę nowego obozu. Jedyne chwiejny i umiarkowanie prawicowy „Kurier Warszawski” nie kryje swojej sympatii; jedynie poszczególne osobistości z prawicy, od lat w życiu publicznym nieczynne, zaktywizowały się na nowo w Obozie Zjednoczenia Narodowego.

Bilans zatem więcej niż skromny. Można wprawdzie w tym miejscu przypomnieć, że organizator Obozu najpewniej taki właśnie odzew przewidział, skoro od razu zapowiedział, że sięgnie ponad mury i płoty, ale sięgnąć nie wystarczy, — pytanie, czy dotrzeć, czy osiągnąć i osiągnąć. A przecież za dawnym BBWR (w każdym razie powoływano się na to, że stoi) największy autorytet nie zastąpiony, i mimo to płotów i murów nie usunęto, ani partii politycznych nie pozbawiono ich charakteru masowego. Nawet pamiętna mowa p. Walerego Sławka o łamaniu kości, oraz potężny nacisk śruby biurokratycznej, która była na usługach B.B., partii zlikwidować nie zdołały. Nad tymi doświadczeniami z niedalekiej przeszłości nie można przejść do porządku dziennego, trzeba się z nich uczyć, trzeba z nich wnioski wysnuć aktualne.

Dotychczasowymi metodami tworzone, nie rozszerzony obóz plk. Koca podstawy społecznej regimie'u, a raczej ją jeszcze zwięzi w porównaniu z byłym BB. Już w zasadzie, z samego założenia O. Z. N. ma znacznie szersze granice, niż poprzednia organizacja grupy rządowej. Podczas gdy BBWR obejmował jednostki i ugrupowania wszystkich narodowości i najrozmaitszych przekonań, to Obóz Zjednoczenia Narodowego — jak sama nazwa wskazuje, i jak wynika z najpobieżniejszej choćby analizy Deklaracji — pomyślany jest wyłącznie dla Polaków, i to dla Polaków, piszących się pod wspólną, a wyraźnie określony program. Rozwiązany przed rokiem B.B. nigdy zbyt wielkimi wpływami w społeczeństwie nie rozporządzał — O. Z. N. sam sobie sferę wpływów z góry bardziej jeszcze ograniczył. Mówi się, że jednolita ideologia zacieśnia co prawda teren, ale daje za to większe możliwości całkowitego opanowania tego określonego terenu. Cóż, kiedy i z tą jednolitą ideologią rzecz się ma nieszczerze. Akces zgłosiły zarówno konserwa sanacyjna, jak i „naprawa”, mimo że stosunki między nimi nie a nie się nie zmieniły na lepsze, snąc jedna i druga znajduje w ramach Deklaracji możliwość umiesz-

czenia swoich, jakże różnych i przeciwnych, tez programowych.

Rząd dotychczas nie zajął stanowiska wobec Deklaracji, co należy podkreślić z uznaniem, gdyż w ten sposób organy opinii publicznej zyskują więcej swobody w krytycznym oświetlaniu samego, nieurzędowego wszak dokumentu, oraz procesu realizowania się inicjatywy plk. Koca. Nie możemy naturalnie znać stanowiska p. p. ministrów Kościalkowskiego i Poniatowskiego, reprezentujących lewicę sanacyjną w gabinecie gen. Składkowskiego,

Niektóre akcesy kłócą się prosto z dobrym smakiem. Zrozumiał jest akces rozmaitych grup sanacyjnych. Naturalny jest akces niektórych politycznie odnowionych jednostek. Ale jakież sens może mieć akces LOPP'u, straży ogniowych, lub Rady Miejskiej w Kowlu? To są przykłady najjaskrawsze, ale jest mnóstwo innych, gdy organizacje apolityczne zgłaszają swe przystąpienie do O.Z.N., oczywiście, bez wiedzy i zgody bardzo wielu członków tych organizacji. Czy np. przystąpienie kowelskiej rady miejskiej może oznaczać zgodę całej ludności Kowla na tezy plk. Koca? — bo jeśli nie, to ogłoszenie takiej decyzji (niech mi kowelscy radni darują) zawarte jest między nieszczerością a niedorzecznością. Albo czy władze LOPP'u zgłosiły akces również w imieniu tych wszystkich członków, którzy są nadal endekami, ludowcami, socjalista-

mi lub z goła Żydami? I czemu taka naciągająca masowość jest potrzebna?

Dochochodzimy do sedna zagadnienia, do właściwego wątku dramatycznej sytuacji: OBÓZ W POLSCE CZY POLSKA W OBOZIE? Do którego z tych dwóch celów zmierza plk. Koc? Czy zamierza tylko zalać obóz, który będzie działał obok innych, dotychczasowych obozów, czy też pragnie wlotoczyć w ramy swego obozu całe życie Państwa?

W pierwszym wypadku O.Z.N. byłby obok Stronnictwa Narodowego i O.N.K. — trzecią odmianą nacjonalizmu polskiego, odmianą — dodajmy — najkulturalniejszą. Nie mniej, ale też ujęć więcej. Powstanie nowego, jeszcze jednego obozu w Polsce, chociażby o tendencjach subiektywnie najbardziej patriotycznych, nie rozwiąże wszelako wewnętrzno-ustrojowych zagadnień Polski, których rzetelnego rozwiązania konieczność wszyscy dziś uznają. Na nic tu się nie zda medytowanie: nie ma innego rozwiązania kwestii wewnętrznej polityki polskiej, jak tylko powszechne, demokratyczne i swobodne wybory. Ludziom, którym po dziś dzień się zdaje, że wciąż leczą Polskę z raka partyjniactwa, należy wreszcie powiedzieć, że już Polska z tej plagi jest wyleczona, że ich terapia swoje zrobiła. Bo oto naprawdę tendencja dyferencjacji zastąpiona została tendencją integracji. I gdyby miało naprawdę dojść do rozgrywk wyborczych, to sama sytuacja obiektywna doprowadziłaby do starcia tylko dwóch frontów: lewicy i prawicy, demokracji i nacjonal — faszystwu. Również mniejszości narodowe podzieliły się według tego kryterium. Hitlerowskie ugrupowania niemieckie, antysewicy i interwencjonisci ukraińscy znajdują jakas formę zgodnej współpracy z prawicą polską, — demokrację znów odłamy społeczeństw mniejszościowych znajdują się po drugiej stronie linii podziału. Sytuacja dojrzała do rozstrzygnięcia, a nie ma — powtarzamy — innego sposobu rozstrzygnięcia rozumnego, trwałego i dla wewnętrznego

pokoju w Państwie bezpiecznego, jak wolne, pięcioprymiotnikowe wybory.

Chyba że... Chyba że plk. Koc sądzi, iż zamknie całą Polskę w swym Obozie. W imię czego? Hasło obrony Państwa jest naprawdę hasłem powszechnym, dla wszystkich drogim, które tym samym nie może się stać kryterium do różnicowania społeczeństwa i jego podziału na polityczne obozy, bez naodwrotu stanowi ono owo elementarne ogniwo, które scala i spaja ogół obywateli wszystkich obozów i stronnictw w jedno zorganizowane społeczeństwo. Drugie hasło, którym posługują się często ludzie ze środowiska plk. Koca jest podporządkowanie wszystkich spraw, a przede wszystkim interesów społecznych Państwa; hasło niewątpliwie słusze i szlachetne, ale zawierające jedną wielką niewiadomą: czego właśnie ów interes Państwa wymaga, a co temu interesowi przynosi szkodę? Na miejsce tej niewiadomej różni obywatele natchnieni tą samą miarą patriotyzmu, wstawiają różne, często ze sobą sprzeczne wartości, — i tu zaczyna się właśnie owa dyferencjacja partyjna, którejby się chciało uniknąć. Weźmy dla przykładu walkę klas, którą plk. Miedziński, w swej interpretacji Deklaracji odrzuca; nie trzeba wcale być praktykującym marksistą, by przyznać, że w obecnych warunkach i w obecnym ustroju oznacza to tylko przywilej dla warstw posiadających. W imię czego więc, w imię jakiej wielkiej, a konkretnej, dla prostych ludzi zrozumiałej, idei ma się cała Polska zamknąć w jednym obozie?

I jeszcze jedno. Bądź co bądź jedna trzecia ludności Polski to mniejszości narodowe. Do Obozu Zjednoczenia Narodowego, obozu narodowo polskiego, mniejszości należeć nie mogą. Słuszność całkowitą ma ukraiński „Dilo” (28.2.37.), podnosząc, że „nie-Polacy, którzy do niej (do organizacji plk. Koca) należeć będą, automatycznie przejdą nie do innego obozu partyjno-politycznego, lecz do innego obozu n a r o d o w e g o; mamy wrażenie, że plk. Kocowi, twórcy nowej organizacji, opartej na za-

sadach czysto i d e o w y c h, jednostki takie nie będą potrzebne”. Jeśli zatem nie w Obozie, to gdzie się politycznie podzieją mniejszości? Wyłączyć je w ogóle z życia państwowego trudno, może nawet niemożliwie, a naszym zdaniem także niebezpiecznie. Ale dajmy na to, że tak się stanie, to przecież trzeba będzie znaleźć dla nich jakiś statut. Jaki? Deklaracja w tej materii jasnego programu nie zawiera. Z tonu jej jednakowoż wynika, jak i z wyraźnie ograniczonej tolerancji dla odrębności narodowych, że nie będzie to w żadnym razie statut autonomiczny. Z uotożsamienia Państwa z Narodem Polskim przy jednoczesnym wysunięciu hasła „samoobrony kulturalnej” przed wpływem czynników nie-polskich na kulturę polską wynika znów, że i system asymilacyjny nie będzie stosowany. Więc co? Jaki jednak statut pragnie nadać O. Z. N. tej trzydziestokilko procentowej reszcie obywateli, której nie ma zamiaru swymi ramami organizacyjnymi obejmować?

Na wszystkie te pytania, zastrzeżenia, wątpliwości nie ma faktycznie odpowiedzi. Bo w takim państwie, jak Polska, gdzie tyle jest spraw socjalnych dotąd nie rozwiązanych, gdzie tyle się krzyżuje zagadnień narodowościowych, system monopartii nie da się zastosować. Regime monopartyjny rządów może być tylko szkodliwy, ale regime monopartyjny w organizacji społeczeństwa w ogóle nie do pomyślenia. To też przy zostawieniu obywatelom najdrobniejszych choćby pozorów dobrowolnej decyzji, Polski w jeden obóz zewrzeć się nie da. Chyba że się taki obóz powoła do życia przy pomocy zarządzeń prawnych (rozwiązanie partii i organizacji społecznych, wprowadzenie systemu korporacyjnego etc.). To, znowu drogą rozgrywk o charakter, o przyszłość, o oblicze Polski uniknąć się nie da; najwyżej się ją na jakiś czas odłwiecze, wzmagając zarazem jej potencjał dramatyczny.

Filozofowie, którzy każdemu nowemu czy przyszłemu władcy od razu śpieszą szulcałco na powitanie z gotową teorią, uzasadniającą nowy kurs „filozoficznie”, na srebrnej podaną tacy, — tacy filozofowie nie wiele są warte. Nie wiele też warta jest filozofia p. J. E. Skiwskiego, który w artykułach „o styl i ustrój życia polskiego”, zaleca totalizm, wskazując na trwałe zdobycze totalizmu zachodnio-europejskiego: — „rozumne ograniczenie wolności” i „realizowanie sprawiedliwości społecznej bez niszczenia kultury...” Ograniczenie wolności np. w Trzeciej Rzeszy jest rozumne (ooby koncentracyjne, noc 30 czerwca 1934 r.), stosunki społeczne tamże są sprawiedliwe (?), realizuje się zaś tę sprawiedliwość bez naruszenia kultury (palenie książek na stosie, wyrzucanie uczonych etc., etc.) — jak to wszystko można pogodzić z obiektywizmem badacza, z lepszą wiedzą, no i z prostym ludzkim sumieniem, pozostanie tajemnicą rozumnie ograniczonego w wolności „Kuriera Porannego”. Tajemnicą jego też pozostanie, jak jest możliwy totalizm bez mitu — tych nieodzownych drożdży w procesie wzrastania totalizmu.

Zresztą poco to całe teoretyczne mędrkowanie usłużnych filozofów nowego obozu? Trzeba z życia brać realne przykłady i praktyczne nauki. Monopartię spróbował już wszakże w Polsce zaprowadzić pułk. Sławek. Zaczął od parlamentu: operacja się udała, ale pacjent zginął. W izbach ustawodawczych istotnie nie ma partii z obozów opozycji. „Należymy wszyscy do jednego obozu” — oświadczył z trybuny sejmowej nie dawno generalny referent budżetu. Ale równoległe z likwidacją partii na Wiejskiej, wzrosły one i skrzępiły w terenie. A i na samej Wiejskiej powstały partyjki, grupki, kliki i kliczki. I na samej Wiejskiej odzwaja się głosy takie, jak prof. Michałowicza, jak dr. Fleszarowej, głosy z innego świata, ze świata, który miał rozwiać się w nicność nazajutrz po wyborach według recepty pp. Sławka, Cara i Podolskiego. Co się nie udało na odcinku parlamentarnym, tym bardziej udać się nie może na wielkim froncie całokształtu życia politycznego w kraju.

Obóz w Państwie? — nic to wielkie. Państwo w Obozie? — rzecz w Polsce nie do przeprowadzenia. Więc co? Cóż jednak zrodzi wielka chmura?...

Dr. F. Rotenreich

Polsko-palestyński układ clearingowy

Pierwszy raz Agencja Żydowska zawarła układ clearingowy z obcą instytucją państwową. Po długich rokowaniach z polskim Ministerstwem Handlu i Przemysłu, a następnie z M. S. Z., osiągnięto porozumienie, będące pierwszym tego rodzaju. Wprawdzie Agencja Żydowska zawarła jeszcze przed tym „gentleman agreement” z Szwajcarią, ale układ ten miał wyłącznie handlowy charakter, podczas gdy układ z Polską jest znacznie szerszy, albowiem reguluje sprawę wywożenia dewiz.

Nasze społeczeństwo w Palestynie żywo pamięta z ubiegłych lat umowę transferową z Niemcami i dlatego jest skłonne zaliczać do tejże kategorii umowę z Polską, a tym samym traktować ją, jako rodzaj ograniczenia, skierowanego przeciw nam.

Sprawa jednak przedstawia się inaczej. Umowa polska różni się od transferu tym przede wszystkim, że opiera się na klauzuli największego uprzywilejowania. Rząd polski będzie stosować w stosunku do eksportu do Palestyny także politykę, jaką stosuje wobec innych krajów — rząd niemiecki, natomiast, żądał od osób transferujących, by częścią własnych pieniędzy popierały eksport niemiecki.

Zarówno w polsko-angielskiej umowie handlowej, jak również w związku z rokowaniami Agencji Żydowskiej z rządem polskim, wyraźnie zostało powiedziane, że Palestyna korzysta z praw największego uprzywilejowania, podobnie jak inne państwa, a wśród nich Anglia. Jest to jedna z zasadniczych różnic, zachodzących pomiędzy umową z Niemcami a umową polską. Daje to możliwość sprawadzania importu z Polski do Palestyny w innej postaci.

Przy realizowaniu umowy z Polską należy od pierwszej chwili wystrzegać się powtarzania błędów niemieckiego transferu. Trzeba dobrze pamiętać, że

Żyd polski różni się od Żyda niemieckiego. Gdy Żyd polski pragnie emigrować do Palestyny w charakterze kapitalisty, rozporządzającego 1000 Ł., to trzeba pamiętać, że sumę tę zdobył kosztem zlikwidowania wszystkich swych interesów i spieniężenia ruchomości domowych.

Dlatego należy realizować umowę w postaci, umożliwiającej Żydom, którzy wpłacili w Polsce 1000 albo 2000 Ł., natychmiastowy wyjazd do Palestyny, oraz otrzymanie pieniędzy swoich w Palestynie w czasie jak najszybszym. Należy kategorycznie unikać wypłacania tych pieniędzy ratami, albowiem oznaczałoby to dla emigrantów zupełną ruinę — funt po funcie zjedliby oni pieniądze, przeznaczone przecież na cele produkcyjne.

W związku z tym powstanie konieczność regulowania przyjmowania wpłat, a więc nie przyjmowania więcej, niż wynosi miesięczny eksport z Polski do Palestyny.

Wprawdzie nie Agencji przynosi się kierownictwo instytucji realizującej umowę, ale jej meżowie zaufania będą pracować w tej instytucji, a przynosi się jej też prawo weta. Tak więc odpowiedzialność za instytucję spadnie na Agencję. Niezależnie od tego 5 reprezentantów Agencji zasiądzie w państwowym instytucie w Warszawie, który popierać będzie realizowanie układu. Dwóch przedstawicieli Agencji zasiądzie też w Radzie Clearingowej z siedzibą w Palestynie. Zadaniem tej Rady będzie przygotowanie wniosków i projektów realizacji układu dla instytucji warszawskiej. Dlatego jest obowiązkiem Agencji Żyd. stać na straży szybkości i całkowitości realizowania clearingu.

Odrębną sprawą jest kwestia urzędzenia się w Palestynie tych Żydów, którzy przybędą do kraju z 1000 albo z 2000 Ł.

Wiemy dobrze, że znajdują się osoby i instytucje, które zechcą próbować wykorzystania układu clearingowego dla zarabiania na biednych Żydach polskich. Dla uniknięcia tego postarano się, aby w komisji clearingowej zasiadło 5 przedstawicieli Agencji obok 5 przedstawicieli rządu polskiego (komisja ta ma ustalać kolejność wpłat oraz reguluje transakcje, przewidziane w układzie). Chcielibyśmy uniknąć samowoli oraz zalewania rynku palestyńskiego nadmiarem towarów, co mogłoby doprowadzić do spadku cen na niekorzyść Żydów polskich. Po drugie, chcielibyśmy, aby Żyd polski wiedział, że pieniądze jego są pewne, termin wyjazdu z Polski jest ustalony, a związane z tym koszty nie będą ponad miarę wysokie.

Nie łatwo będzie doprowadzić do uzgodnienia interesów Żydów, pragnących wyemigrować z Polski do Palestyny, zwłaszcza, jeśli weźmiemy pod uwagę, że większość korzyści, które clearing przyniesie Palestynie, da się osiągnąć kosztem popierania importu, a trzeba przecież także wziąć pod uwagę eksport z Palestyny. Dlatego zadaniem instytucji narodowej, która zajmie się urzeczywistnianiem umowy, będzie znajdowanie takich form, któreby nie tylko nie godziły w obecne gospodarstwo palestyńskie, ale przeciwnie, przyczyniały się do jego wzrostu i rozwoju przy pomocy nowych kapitałów, płynących do kraju.

Uważam, że układ Agencji Żyd. z rządem polskim umożliwi emigrację 200 Żydów polskich miesięcznie oraz wzrost naszego majątku narodowego w Palestynie o 60.000 Ł. palest. miesięcznie. Okoliczność ta powinna skłonić społeczność żydowską w Palestynie do popierania towarzystwa, które Agencja Żydowska tworzy dla urzeczywistnienia układu.

Jerozolima, w marcu 1937.

Leopold Halpern

PAN PROFESOR ROBI PARTIĘ...

DO SPOWIEDZI, KAZNODZIEJO!

Prasa doniosła w króciutkim komunikacie, że prof. Stanisław Grabski ze Lwowa, b. minister i jeden z najwybitniejszych przywódców b. Narodowej Demokracji, przystąpił do organizowania nowej partii politycznej, której nazwa brzmi „Zjednoczenie Narodowe Polaków Ziemi Czerwieńskiej”. Program nowego stronnictwa ma stanowić osobliwą syntezę pozytywnego stosunku do systemu demokracji politycznej z negatywnym ustosunkowaniem się wobec mniejszości narodowych. Jak wynika z nazwy, partia będzie miała charakter lokalno-dzielnicowy, ograniczając zasięg swego działania do terenu ziemi czerwieńskiej, t. j. Małopolski Wsch.

Na tle doniosłych wydarzeń wewnętrzno-politycznych ostatnich tygodni jest to fakt raczej drobiazgowy i mało znaczący. Ale tylko pozornie!

Przypuśćmy na chwilę, że podubka prof. Grabskiego przy wystąpieniu ze Stronnictwa Narodowego i założeniu nowej partii była ideowa konieczność zademonstrowania wierności wobec systemu demokracji parlamentarnej, któremu to systemowi oficjalna endecja tak bardzo się sprzeniewierzyła.

Nikt bowiem tyle nie igrał z pojęciem demokracji, jak polska „Narodowa Demokracja”. Była to taktyka, która żywo przypominała grę w piłkę: w odpowiednich momentach łapało się piłkę demokracji, by ją wnet odrzucić; po chwili znów się łapało, znów odrzucało, i tak w kółko. U początków swego istnienia, zwłaszcza zaś na terenie ówczesnej Galicji, endecja była wierna w wszelkim pozorze demokracji, ale me-

tody Romana Dmowskiego w ówczesnym zaborze ros. rych/o pozory te usunęły doszczętnie. W Polsce Niepodległej, gdy wypało dokuczyć Piłsudskiemu, endecki Związek Ludowo - Narodowy stanął na stanowisku najskrajniejszego... ludowładztwa, przyczyniając się w „Małej Konstytucji” do powierzenia Sejmowi władzy wykonawczej i kontroli nad Naczelnikiem Państwa. Ale nie upłynęły 3 lata, a już w r. 1922 publicystyka endecka poczęła zachwycać się marszem „czarnych koszul” na Rzym, modląc się o przyjęcie laszysmu „z ziemi włoskiej do polskiej”. W przededniu przewrotu majowego roilo się endecji o własnym zamachu stanu, ale po zwycięstwie Piłsudskiego stanęła ona twardo na gruncie demokratycznej konstytucji, krusząc kopie w obronie praworządności i parlamentaryzmu. Tak było niemal do ostatnich chwil poprzedniego Sejmu.

Ale tylko oficjalnie. Wewnątrz endecji, zwłaszcza zaś w szeregach jej młodego pokolenia, dawno już odrzucono piłkę demokracji. Kiedy Koskowski pisał hymny pochwalne na cześć politycznej demokracji, kiedy Stroński cisnął pociskami sarkazmu w rządzącą „sanację”, kiedy Trampczyński bronił parlamentu, a nawet Rybarski „grzmiał”, jako rycerz praworządności — to młode pokolenie endecków jawnie, a cały prawie „narodowy” obóz w głębi duszy zachwycał się marszem brunatnych koszul w silniejszym jeszcze stopniu, niż dawniej marszem koszul czarnych. Podziwiano, zazdrościono i uczono się pilnie, aby po zdobyciu upragnionej władzy przeschęścić te piękne wzory na „ziemię polską”.

Czyżby więc secesja prof. Grabskiego miała być uwarunkowana tym właśnie, że oficjalna endecja znowu odrzuciła do lamusa, (teraz chyba na długo) swoje zewnętrzne akcesoria „demokratyczne”? Za taką interpretacją wystąpienia prof. Grabskiego mogłaby przemawiać okoliczność, że w gronie przywódców endeckich zawsze reprezentował kierunek parlamentarno-demokratyczny. Weźmy choćby do ręki jego książkę p. t. „Państwo narodowe”, wydaną w r. 1929 we Lwowie, i przeczytajmy jej kartki. poświęcone ocenie współczesnych prądów oraz sytuacji wewnętrzno-politycznej w Polsce. Znajdziemy tam takie zdanie: „Bo naród polski, choć się czasami boi — ale nie lubi się bać, i świszczący na ulicach bał wywoływał zawsze i wywołuje w Polsce po niedługim czasie odpór skuteczny”.

Rzekome bankructwo parlamentaryzmu, demokracji i liberalizmu na całym świecie, prof. St. Grabski uważa (bardzo słusznie!) za ogłupiający frazes. Albowiem w St. J. Am. Pln. panuje demokracja, a także w Europie najbogatszymi i najsilniejszymi państwami są Anglia i Francja, gdzie demokracja nie przeżywa bynajmniej kryzysu. Także w Belgii, Holandii, Szwecji, Norwegii i Czechosłowacji demokratyczny ustroj państwowy nie przechodził wstrząsów. „W zestawieniu z realnymi faktami współczesnego życia społeczno-państwowego Europy frazes o powszechnym bankructwie demokracji, liberalizmu i parlamentarnego ustroju okazuje się płytkim, pospiesznym uogólnianiem tego, co się dzieje w kilku tylko krajach...”

Tak pisał w 1929 r. prof. Grabski, a jeśli również obecnie hołduje takim poglądom — to bardzo pięknie i słusznie.

Cóż, kiedy demokracja nawet wśród stosunkowo najbardziej demokratycznych członków endecji jest jak rzekłszy, piłką, łapaną lub odrzucaną zależnie od potrzeb chwili. Nie inaczej też sprawy te wyglądają u prof. Grabskiego. Albowiem w tymże „Państwie narodowym” czytamy i takie

rzeczy: „...musimy określić jasno i wyraźnie, czym państwem jest Rzplita Polska, kto jest władcą podległego jej prawom kraju, kto jej suwerenem. Konstytucja nasza (Marcowa — L. H.) mówi, że wszelka władza w Rzplitej od narodu pochodzi, do udziału jednak w formowaniu władz i ustanawianiu praw państwowych powołuje całą bez różnicy narodowości ludność osiadłą w granicach państwa polskiego”. St. Grabski boleje nad tym, że „W zasadzie władza państwa polskiego — jest naród polski, w rzeczywistości dzieli on jednak swą zwierzchnią nad krajem władzę z wszelkimi innymi, nieprzystającymi się doń, a nawet wrogimi grupami narodowościowymi.” A więc demokracja prof. Grabskiego ogranicza swój zasięg tylko do obywateli narodowości polskiej, w stosunku zaś do całego ogółu obywateli państwa, a wśród nich do obywateli mniejszości narodowych, demokracja ta nie obowiązuje!

Jeżeli więc p. prof. G., czy to w swych pracach teoretycznych, czy też w programie tworzonej przez siebie partii, starać się będzie o znalezienie syntezy pomiędzy demokracją dla własnego narodu a systemem uposiedzenia politycznego i ograniczeń prawnych dla mniejszości narodowych, — to zdaniem naszym, podejmiemy się pracy Szyfła. Albowiem demokracja albo jest powszechna — albo jej w ogóle nie ma. Demokracja „prócz mniejszości” („kromie jęwejrew”) — to contradictio in adiecto.

Skoro więc prof. Grabski sam nas pozabawiał wiary w demokratyczną część programu swojego stronnictwa, nie pozostaje nam nic innego, jak położyć akcent na jego części antymniejszościowej. Upoważnia nas do tego okoliczność, że przeciw partii ta działać ma w „ziemi czerwieńskiej”, a więc w tej części państwa, w której zagadnienie narodowościowe było i jest najbardziej palące, upoważnia nas też do tego cała przeszłość polityczna prof. Grabskiego, ideologia państwa narodowego.

Przypomnijmy więc sobie znów pewne zdania z „Państwa narodowego”: „Suwerenem państwa polskiego jest naród polski, a nie ogół zamieszkującej je ludności”. Albo: „Trzeba zerwać stanowczo z kłamliwym frazesem, że każdy kto płaci podatki i odbywa służbę wojskową, ma prawo do udziału w rządach państwem. Gdy czyni to z biernego tylko posłuszeństwa władzom państwowym należy mu się wzamian jedynie ich opieka. Ofiara mienia i krwi na rzecz państwa daje prawo do rozstrzygnięcia o tym, co jest dlań dobre, a co złe, — tylko wtedy, gdy płynię ona z miłości Ojczyzny i troski o jej całość i bezpieczeństwo, poczucia odpowiedzialności za przyszłość narodu i państwa”.

Rozumie się, że takie argumenty nie mają charakteru naukowych, a co gorsza: nie są zgodne z życiem. Twierdzenie, że wszyscy obywatele narodowości polskiej składają „ofiara mienia i krwi” tylko i wyłącznie z miłości Ojczyzny, gdy znowu wszyscy obywatele z mniejszości narodowych czynią to jedynie z posłuszeństwa — nie da się przecież obiektywnie skontrolować, a więc nie może służyć za podstawę pozabawienia części ludności równych praw politycznych.

Na takich kruchych podstawach ideologicznych prof. Grabski pragnie budować ustroj państwa narodowego. Wyższe prawa polityczne narodu polskiego od praw obywateli innych narodowości są jego naczelną zasadą. Tylko więc naród polski ma wybierać Prezydenta Rzplitej i Izbę Wyższą Sejmu, do której kompetencji należą sprawy pierwszorzędnej wagi. W miastach o większości niepolskiej 3/4 mandatów w Radzie Miejskiej przypadać winno ludności polskiej, 1/4 mniejszościom. Moglibyśmy w tym miejscu wyrazić wąt-

P. Dr. Szwarcbard rabinem nie jest, ale od czasu do czasu występuje z kazaniem, nawołującymi do porozumienia, do jedności, karcącymi w słowach narzeczonych bólem i ledwo wstrzymywanym oburzeniem tych wszystkich, którzy odraczają rzecz, wyciągnięte do zgody. Nie przestaje nawoływać — i to od lat wielu — do połączenia dzielnicowych organizacji syjonistycznych w jedną, potężną całość, do skonsolidowania t. zw. ogólnego syjonizmu w jedną wielką organizację, która opamięta kongres i ruch. Najpiękniejsze swe młode lata strawił on na tych kazaniach, w mowie i piśmie prawonnych. Powiedziałbym nawet — stracił je, bo kazania nie osiągały skutku. Pod ich wpływem nikt z nikim się nie pogodził, nikt z nikim się nie połączył. Nawet przeciwnie, można twierdzić, iż kazania dra Szwarcbarda, głoszone z miastabnącym zapalem, a głosem drżącym od tłumionego wzruszenia i nie raz nawet świętego oburzenia rozdzielały i waśniły ludzi, niast ich łączyć i godzić. P. Lewite i jego towarzysze, którzy mieli w swym ręku przez długie lata kierownictwo organizacji syjonistycznej w byłym zaborze rosyjskim, nigdy by prawdopodobnie nie opuścili tej organizacji, gdy kierownictwo przeszło do rąk ich przeciwników, jak tego nie zrobili ci ostatni, gdy byli w opozycji i w mniejszości. — gdyby nie skwapliwa pomoc apostoła jedności i świętej zgody — dra Szwarcbarda. A ponad to jakoś p. Szwarcbard sam nie działa w myśl swych kazań. I to właśnie czyni je bezplodnymi i bodaj czy nie śmiesznymi.

Przedstawiciele obecnej większości organizacji syjonistycznej w b. zaborze rosyjskim w swej polemice z apostołami jedności odpowiadają zazwyczaj na myśli, na argumenty, prostują nieścisłości, oburzają się na rzucane na nich oskarżenia bezpodstawne. Nie chcą iść w ich ślady. Argumenty, oskarżenia, wykoszlanianie rzeczywistości, to rzecz na ogół tania, zwłaszcza dla ludzi, mówiących o wyzwaniach z leką i „świętym” oburzeniem. P. Szwarcbard mówi i pisze po żydowsku, co mu nie przeszkadza przetłumaczyć „um-gelumpert”, co znaczy niezręcznie, wyrażać „mikczemny”, co, rzecz jasna, zmienia całkowicie treść i tenor artykułu. Ale

pliwłość, czy uczynienie pariasów politycznych z 30,9% ludności służyć może za dobry środek urzeczywistnienia ideału Polski potężnej — ale nie polemika jest teraz naszym zadaniem.

Wyraziliśmy wątpliwości, czy sprawa demokracji była powodem secesji prof. Grabskiego z obozu endecji i staraliśmy się wykazać, że osią programu nowej partii będzie raczej ideologia państwa narodowego, oraz związana z nią walka z mniejszościami narodowymi. Bardzo pięknie, czy jednak to miało być aż powodem wystąpienia ze Stronnictwa Narodowego? Przecież pod względem „narodowym” prof. Grabski mógł wyżyć się w nim bez ograniczeń.

Nasuwa się więc ostatnia hipoteza, zdaniem naszym najbardziej prawdopodobna: Zjednoczenie Narodowe Polaków Czerwieńskich ma być formą ewolucyjnego przejścia endecji wschodnio-małopolskiej do Obozu Zjednoczenia Narodowego. Nie otwarcie, z rozwiniętymi sztandarami, ale właśnie stopniowo, ewolucyjnie.

Albowiem ideolog państwa narodowego uznał widocznie, że nadchodzi już czas, kiedy idee jego, zamiast marnować się w półkorych faliach literatury partii opozycyjnej mogą zająć czołowe miejsce w programie akcji partii rządzącej. Pan profesor tworząc nową partię, chce zarazem zrobić dobrą partię...

Małe stosunkowo zdarzenie — ale significant temporis.

mniejsza z tym. Ważniejsze są czyny. Dla nas argumenty, które nie poparte są czynami, wywody, nawet przebijające iza- wnym oburzeniem, ale klócące się z dział- alnością, nie mają najmniejszego znacze- nia, nie warte są wprost chwili uwagi, po- trzebnej na zaznajomienie się z nimi.

Trzeba raz pomówić o czynach p. dra Szwarcbarda i jego towarzyszy i to wła- śnie o czynach w dziedzinie konsolidacji, łączenia, unifikacji. Trzeba postawić wręcz pytanie: dlaczego istnieje odręb- na egzekutywa krakowska i osobna orga- nizacja ogólnych syjonistów Małopolski Zachodniej? Dlaczego nie łączy się z egze- kutywą lwowską i organizacją ogólnych syjonistów Małopolski Wschodniej? Róż- nice ideowych w dziedzinie zagadnień pa- lestyńskich pomiędzy tymi organizacjami i ich egzekutywami nie ma: obie należą do jednego ugrupowania kongresowego, obie holdują zasadom ogólnego syjonizmu grupy B. Również w dziedzinie polityki krajowej razem robiły ugodę z rządem Wł. Grabskiego, razem poddały się sana- cji, gdy się przekonały o jej sile i panow- aniu, razem poszły na jej basku, aż do przyjęcia mandatów nieomnął że z rąk władzy przełożonej. Dlaczego więc nie łączy się, dlaczego nie przeprowadzają unifikacji w b. zaborze austriackim? Nie można chyba mówić o różnicy mentalno- ści, jak się to mówiło w stosunku do miesz- kańców b. zaboru rosyjskiego, wycho- wanych w atmosferze carskiej Rosji i jej walk podziemnych. Jeżeli się nie myli, istnieje tylko jedna jedyna mentalność ga- licyjaska, w której wychowali się działacze lwowscy jak i krakowscy. Dlaczego nie ma jednej, jednolitej organizacji syjoni- stycznej w b. zaborze austriackim? Dla- czego można było wcielić do organizacji syjonistycznej Małopolski Zachodniej sy- jonistów Śląska, poddać organizację w Katowicach egzekutywie krakowskiej, a nie można stworzyć jednej egzekutywy we Lwowie lub w Krakowie dla całego obszaru b. zaboru austriackiego? Jakie zasady stoją temu na przeszkodzie? Chy- ba tylko siła inercji, a może chęć utrzy- mania istnienia centrali ze wszystkimi przynależnymi akcesoriami. Widocznie trudno komuś, kto może być prezesem or- ganizacji krajowej, poprzestać na stolcu prezesa organizacji miejskiej, trudno wy- rzec się samodzielności, własnej repre- zentacji na kongresie, możliwości żądania uwzględnienia odrębności w każdej wspólnej dla całego ruchu instytucji sy- jonistycznej.

To wszystko jest ludzkie, aż nazbyt ludzkie, ale to nic nie ma wspólnego ze wzniosłymi kazaniem na temat jedności i unifikacji. To się nawet klóci ze słowami p. Lewite, które p. Szwarcbard tak skwapliwie cytował, ale zgadza się zupełnie z jego czynami, z wystąpieniem z organizacji b. zaboru rosyjskiego, z utworzeniem osobnej organizacji, należą- cej do grupy kongresowej t. zw. ogólnych syjonistów „b”, ale nie unifikowanej; ani z jedną organizacją galicyjską.

Poco mówić i pisać górną i z leką o zgodzie i unifikacji, hoco karcie surowo jako szkodników i rozbiłaczy innych, kiedy można zwyciężajnie dokonać wielkiego dzieła połączenia organizacji obojga Galicji, a z nią organizacji p. Lewite. Gdy to się stanie, gdy wszystkie te trzy organi- zacje połączą się, stworzą wspólny cen- tralny komitet z jednym, jedynym pre- zesem na czele, zwiną wszystkie dzielnicowe centrale, — wtedy zaświen i wszyst- kim przykładem! Wtedy dopiero będą mogli prawić wszystkim kazania o jedno- ści, unifikacji i zgodzie.

Do tego czasu szkoda wprost wznio- słych słów! Do niczego to nie doprowad- dzi! OBSERUER

MAŁY FELIETON

BEREK POD KOCKIEM

Moja żona, jak wszystkie inne dobre żony, ogromnie dba o moje zdrowie. Dotychczas wyrażało się to w pakowaniu mi do kieszeni ciepłego szalika, w ciągłym przypominaniu o kaloszach. Obecnie jej troskliwość o moje zdrowie i bezpieczeństwo wyraża się w zupełnie nowej formie: codziennie po przyjsciu do redakcji stwierdzam brak wiecznego pióra...

Tak, moi państwo. Difficile est satyram — scribere. Od pewnego czasu odczuwam silny koczajammer, który zabija we mnie dowcip. Akces pozbawia mnie akcesoriów, koniecznych dla napisania felietonu. No, ale spróbujemy.

Optymistyczne przepowiednie naszego Eu-geniusza finansowego sprawdzają się całkowicie. Zamykają się wreszecie noży- cce cen (zury).

Gazety sprzedaje się masowo na biały papier do pakowania. Zamknięto wpra- dzie „Dziennik Popularny”, by nie był „Głosem Powszechnym” i nie nawoływał do „Walki Ludu”. Ale za to Goetel objął „Dziennik... Popularny”, którego czytelnicy, zagrzani natchnionym słowem Nieśmiertelnego Akademika, porzucają wszyst- ko, nawet swoją gazetę, aby się zgłosić do Obozu.

Powszechny entuzjazm objął podobno nawet niektórych Żydów, i kombatanci ży- dowscy w Krakowie uchwalili akces. Da- no im jednak do zrozumienia, żeby nie komba-tańczyli na cudzym weselu. Zresztą i ich protoplasta, Berek Joselwicz, zginął pod... Kockiem.

W tym miejscu troskliwa żona wyrwała mi wieczne pióro z ręki.

ESQUIRE

Wiwat Król! Wiwat Polska!

Wiwat wszystkie stany! FELIETON

Gazety podały niedawno wiadomość, że w Krakowie odbyło się posiedzenie jakiegoś Związku, czy Zjednoczenia „w s z e c h s t a n o w e g o” Żydów polskich, obejmującego co najgrubsze fi- zyczne kombatantki i asymilatorskie podwa- welskiej stolicy z przyległościami. Cho- dziło o to, czy i jaką drogą wprosić się do pewnego nowozawianego towarzystwa, i coś tam na tym posiedzeniu pękło: część protestowała i wyszła, a część pozostała. O co tam im poszło — nie wiem, ale do- myślić się nie trudno: prawdopodobnie outsiderzy mówili: kogo nie proszą, tego za drzwi wynoszą, — zaś szczyry komba- tanci (od „batre”: bić) dowodzili: niech biją i pływają, lecz się gdzieś calować da- ją.

Mniejsza o to, nie o to chodzi. Co się tyczy owej różnicy zdań, to — tuszę so- bie — że wyjątkowo tu jesteśmy z p. pułk. Kocem zgodni: jeżeli wstąpią do Obozu Zjednoczenia Narodowego, — Obóz nie- wiele zyska, a naród żydowski jeszcze

mniej straci; jeżeli nie wstąpią — Obóz nie nie straci, a naród żydowski nic nie zyska. Co Obozowi po kilku Kacach? a my rozmaitych Kaców mamy aż nadto.

Ale — powtarzam — nie w tym sek. Sek w-stanach. Przekonany byłem, że w Polsce stanów zupełnie nie ma. Byłem święcie przekonany, że wraz z matuzką Rasieją znikły „soslowa”, i szlacheckie, i mieszczkańskie, i duchowne, i „rznoczyń- cy”, — a pozostali poprostu obywatele Rzeczypospolitej. Sądziłem, że wraz z Habsburgami w przepaść się zapadły stände, i „das hohe Adel” i „der Ritter- stand”, i bürgerzy... A już gdy w marco- wej konstytucji przeczytałem w art. 96, że „Rzeczpospolita Polska nie uznaje przywilejów ani rodowych, ani stano- wych”, — no to się zupełnie uspokoiłem. Są obywatele, — i basta. Naturalnie, mo- gą być rozmaite klasy obywateli, np. je- den pracuje i dlatego nazywa się robotni- kiem, drugi b i e r z e i dlatego nazywa się nazywa... pracodawcą. Jeden jest kru-

czowłoty i dlatego płaci podatki i zewszad jest wypierany, drugi jest niebieskookim blondynem i dlatego jest za pan brat ze wszelkimi urzędami, nie wylaczając po- datkowych. Jeden skończył z odznacze- niem uniwersytet i dlatego mu co pół roku obiecuja w rządowej posadzce skromną pensyjke i ściągają z mej podatek docho- dowy, ubezpieczalnie, pożyczkę narodo- wą, pożyczkę inwestycyjną, pomoc zimo- wą, FON, FOM, LOOP, LOM i jeszcze dwanaście innych kabalistycznych połą- czeń, — drugi nic nie kończył, ale siedzi dziedzicznie na tysiącu włók, ma wyści- gową stajnię, przegrzywa jeżeli nie w Mon- tecarlo, to w Klubie Myśliwskim, zalega w podatkach, od opłat społecznych się wymyguje, i dlatego zajmuje wybitne stanowisko w społeczeństwie, na Wiej- skiej, i w „Czasie”. Ale żadnych stanów poza tym.

I okazuje się, że byłem w błędzie: stany są. I to u Żydów. No, bo i u kogóż więcej?

Nawimy. — zapomniałem, że konsty- tucja kwietniowa uchyliła art. 96. Więc już mogą być przywileje rodowe i stano- we. A jak mogą być — to czyż my, Żydzi, nie mamy być równoprawniemi? Rozu- miam, że możemy nie mieć równych praw do reprezentacji parlamentarnej, czy do

obejmowania urzędów w państwie, do spoko- jnego handlowania ze straganów, albo do siedzenia na Uniwersytecie, gdzie nam się podoba. Z tym się jeszcze można po- godzić. Ale żeby nie mieć prawa do po- siadania różnic stanowych — przemogdy!

I oto powstaje związek, czy zjednocze- nie w s z e c h s t a n o w e żydowskie. Nie mam przyjemności znać tego tworu bliżej, ani jego członków, oprócz dwóch — trzech, zresztą wcale sympatycznych nazwisk. Ale wyobrażam sobie, jak w ta- kim żydowskim wszechstanowym zjedno- czeniu reprezentowane są wszystkie stany. A więc przede wszystkim rdzenne włościanstwo, z dziada pradziada, malo- rolni i gross-bawery, gburzy, kulaczy. Przychodzą na takie posiedzenie i gwarzą pomiędzy sobą. „A co mi ta somsiad pore- dzi?” I gniotą w rękach czapki, chyłac kornie głowy, bo oto się zbliża Freiherr v. Cohn, Ritter von und zu Kurzfristere- ditbank, szeroki w ramionach, wysmukły, o wojskowej posturze, uderzając steakiem po złotych sztylpach. Dookoła rozsiała się skromna szlachta szaraczkowa, przy- była z dziedzicznych zaścianków, i co chwila się swarzy i chwytają za pradziadow- skie karabele. A opodal szlachta właścio- wa, bene nata i posesjonata z podgolonymi łbami i sumiastym wąsem, byle co trza-

sku w szable i poprawia je w rapciach. (U jednym kącie sali skupili się co naj- znakomitsi przedstawiciele starych ro- dów hrabiowskich i książęcych, barono- wie habsburscy i szambelani papiescy, a cały róg stołu zajął stan duchowny w li- szych „sztramlech”. Brakuje narazie tylko króla. A bez króla nie można: brak jed- nego stanu. Więc może poszukiwać, może kaptować. Wynaleźli potomka Saula Wahla. Tu się wszczęła dyskusja, że niby Wahl, to wybory, ale jakie? Czy można się teraz nazywać Wahl, nie uzyskawszy uprzednio dyspensy od miejscowego ko- mendanta posterunku? W końcu, jednak się zgodzono, by skorzystać z rewolucji or- tograficznej i wyrzucić h: Wal, nie współ- nego z wyborami nie będzie. Sprowadzo- no jeszcze brakujący stan trzeci, plebs straganiarski i kazano mu krzyczeć: Wi- wat Król! Wiwat Polska! Wiwat wszystkie stany!” — no, bo już są wszystkie stany, i „wszechstanowy” związek Żydów ma ra- cję bytu.

I to jakoś się rozpadło?... A szkoda: tak się pięknie zapowiadało w tym stanie niepoczytalności asymilatorskiego slobi- zmu...

BEN—LEWI.

Dr. A. Tartakower

ZAGADNIENIE EMIGRACJI ŻYDOWSKIEJ

Chcąc zrozumieć obecną fazę zagadnienia emigracji żydowskiej, należy przeprowadzić porównanie z okresem przedwojennym, biorąc przy tym pod uwagę liczbę emigrantów oraz kierunek ich emigracji.

Przed wojną światową, a mianowicie: od pierwszych lat naszego stulecia, przeciętna emigracja Żydów wynosiła 150,000 rocznie. Emigracja ta pochodziła głównie z krajów wschodnio-europejskich (Rosja, Austria, Rumunia), a kierowała się przede wszystkim do Stanów Zjednoczonych Am. Pł. (przeciętnie 100,000 emigrantów żydowskich rocznie), w pewnej zaś mierze także do innych krajów (Anglia, Argentyna, Afryka Płd.).

Jaki jest obraz emigracji żydowskiej po wojnie? Jeśli pominiemy r. 1920, w którym normalna emigracja nie była możliwa z powodu różnych technicznych i prawnych trudności, wówczas otrzymamy jasny obraz rozwoju. W r. 1921 emigracja jest jeszcze prawie taka sama, jak w latach przedwojennych. Poczynając jednak od tego roku, zmniejsza się ona coraz bardziej, załamując się trzykrotnie: w latach 1921, 1924 (wielka emigracja żydowska do Palestyny w roku 1925 zacierą nieco ostrości tego roku, ale mimo to pozostaje on jasny) i 1929 — 1930. Wiemy, co oznaczają te trzy daty: są to przeciętne lata, w których wydawano amerykańskie ustawy, ustalające kwotę emigracji. Zamknięcie podwojów Stanów Zjednoczonych było cięszym śmiertelnym dla emigranta żydowskiego. Natomiast wzrost emigracji żydowskiej od r. 1933 nie ma nic wspólnego z ogólną koniunkturą emigracyjną, stanowiąc jedynie rezultat powiększenia się emigracji do Palestyny. W ciasnych ramach emigracji żydowskiej Palestyna poczyniła odgrywać tę samą rolę, którą w okresie przedwojennym odgrywały Stany Zjednoczone. Stanowi to wielką ulgę dla żydowskich potrzeb emigracyjnych, ale nie przynosi jeszcze rozwiązania żydowskiego zagadnienia emigracyjnego.

Za przykładem St. Zjedn. poszły rychło inne ważne kraje emigracyjne, zwłaszcza w latach ostatnich, gdy na świecie począł szaleć kryzys ekonomiczny. Tak n. p. wr. 1930 Afryka Płd. została całkowicie zamknięta dla emigracji z krajów wschodnio-europejskich; Australia jest zamknięta dla wszystkich z wyjątkiem obywateli angielskich; Kanada wpuszcza tylko określone kategorie — bliskich krewnych własnych obywateli, rolników i służbę domową; Brazylia wprowadziła w r. 1934 system kwoty emigracyjnej, a niezależnie od tego stosuje wciąż nowe trudności administracyjne w stosunku do emigrantów, to samo dotyczy innych południowo - amerykańskich republik, w szczególności zaś Argentyny.

Abym obraz ten był wszechstronniejszy i plastyczniejszy, przejdźmy z krajów imigracyjnych do tych krajów, z których płynnie, albo powinien płynąć, strumień emigracji. Ograniczamy się do wskazania na Polskę, która obecnie jest głównym krajem emigracji żydowskiej (więcej niż połowa emigracji żydowskiej pochodzi z Polski).

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że z obszaru dzisiejszej Polski emigrowało w latach przedwojennych 50 — 60 tysięcy Żydów rocznie, wówczas okaże się, że obecna emigracja, wynosząca przeciętnie 18 tysięcy Żydów rocznie, stanowi trzecią do czwartej części emigracji przedwojennej. Emigracja ta pochłania nie więcej niż połowę przyrostu naturalnego ludności żydowskiej, wynoszącego około 35 tysięcy rocznie.

To doprowadza nas do drugiego momentu, występującego w zagadnieniu emigracyjnym. Dotąd mówiliśmy o *możliwościach* emigracyjnych; obecnie przechodzimy do *potrzeb* emigracyjnych, to znaczy do określenia ilości ludzi, którzy muszą emigrować do innych krajów celem znalezienia dla siebie warunków egzystencji, co równocześnie połączone jest z polepszeniem sytuacji tych, którzy w kraju pozostają. W okresie przedwojennym pojęcia możliwości i potrzeb emigracyjnych niemal się pokrywały. Kto chciał emigrować — ten emigrował, albowiem świat stał przed nim otworem, a instytucje społeczne ułatwiała emigrację.

Dzisiaj sytuacja jest inna. Jeśli emigracja żydowska z Polski zmalała do 1/3 czy 1/4 kwoty przedwojennej, nie stało się to dla tego, że tylko 1/3 tej kwoty pragnie obecnie emigrować. Przeciwnie, sytuacja ekonomiczna Żydów skomplikowała się w niebywały sposób w porównaniu ze stosunkami przedwojennymi. Nie tu jest miejsce omawiania szczegółów polityki wypierania, prowadzonej w stosunku do ludności żydowskiej w krajach wschodnio-europejskich. W ostatnich latach wydano zresztą dość dużo prac statystycznych, ilustrujących ten proces. Wystarczy, gdy przypomnimy, że zgodnie z ostrożnym szacowaniem (rezultaty polskiego spisu ludności z r. 1931, dotyczące struktury zawodowej ludności nie zostały dotąd opublikowane) mamy dziś w Polsce

300,000 Żydów, pozbawionych zawodu i zarobku, a liczba zawodowo biernych, t. j. nie zarabiających, ale bezrobotnych lub zależnych od innych wynosi około 2,410,000, t. j. 76% ludności żydowskiej w kraju. Jeśli będziemy bardzo ostrożni i z liczby tej uznamy tylko połowę, określającą ludzi „mogących pracować i wyżyć swoje rodziny, otrzymamy zawsze 1,200,000 Żydów w Polsce, znajdujących się w wielkiej nędzy i pozbawionych możliwości normalnego życia. Przygniatająca większość tych Żydów to niewątpliwie kandydaci na emigrantów. Jeśliśmy nawet liczbę tę rozłożyli na 10 lat, zawsze dojdziemy do wniosku, że obecna emigracja żydowska z Polski musiałaby być dwukrotnie większa, niż w okresie przedwojennym, aby mogła zaspokoić najbardziej palące potrzeby. Dla zrozumienia ogromu tragicznej sytuacji wystarczy, gdy liczbę 120,000 potencjalnych emigrantów przeciwstawimy... liczbę 18,000, mających możliwość emigrowania.

Liczyby te nie wyczerpują wszakże całości zagadnienia, albowiem w Polsce istnieje nie tylko żydowska, ale także ogólna kwestia emigracyjna. Przed wojną Polska była typowym krajem emigracyjnym. Emigracja polska do krajów zamorskich była liczebnie silniejsza od żydowskiej, osiągając kwotę 150,000 rocznie. Jeszcze silniejsza była polska emigracja kontynentalna, obejmująca pół miliona rocznie, mająca jednak przeważnie sezonowy tylko charakter. W latach powojennych, a

zwłaszcza ostatnio, emigracja ta niebywale zmniejszyła się (w stopniu silniejszym niż żydowska). Odpadły wprawdzie polityczne przyczyny emigracji, odgrywające poważną rolę w czasach rosyjskich. Natomiast ekonomiczne przyczyny mają nie mniejszy wpływ na polską emigrację, niż na żydowską. Ustawy, ustalające kwotę, oraz ograniczenia administracyjne — dotyczą Polaków w stopniu nie mniejszym niż Żydów. Emigracja kontynentalna (głównie do Francji), z powodu kryzysu uległa w ostatnich latach niemal całkowitemu wstrzymaniu.

Z drugiej strony kraj przeżywa kryzys ekonomiczny, występujący w ostrej formie. Przyrost naturalny ludności wynosi zaś pół miliona rocznie. Nic dziwnego więc, że nędza rośnie z roku na rok, a milionowe masy polskiego chłopstwa dosłownie głodują. Zwiększa się więc parcie ze wsi do miasta. W samym zaś mieście, gdzie w przemyśle panuje bezrobocie, zaobserwować można garnięcie się do rzemiosła i handlu, gdzie, oczywiście, Polacy na każdym kroku stykają się z konkurencją żydowską. Tu leży jedna z przyczyn katastrofalnie w ostatnich latach zwiększonego antysemityzmu, który godzi w podstawy żydowskiego życia ekonomicznego.

Podobnie, jak w Polsce, przedstawia się żydowskie zagadnienie emigracyjne w innych krajach Europy Wsch. Inaczej natomiast wygląda przyczyna emigracji żydowskiej w Niemczech. Ani w okresie przedwojennym, ani też od wojny do prze-

wrotu hitlerowskiego, w Niemczech nie istniało zagadnienie emigracji żydowskiej. Przeciwnie, Niemcy były dla Żydów krajem imigracyjnym, wchłaniając rok rocznie po parę tysięcy Żydów wschodnio-europejskich (w latach 1881 — 1925 imigrowało do Niemiec 80,000 Żydów, w późniejszych jednak latach imigracja ta była już minimalna).

Dopiero rząd Hitlera położył kres temu stanowi rzeczy, stawiając po raz pierwszy Żydów niemieckich w obliczu zagadnienia emigracyjnego, występującego w całej swej ostrości. W przeciwnieństwie do krajów wschodnio - europejskich przyczyna tej emigracji nie była koniecznością ekonomiczną, w każdym razie nie bezpośrednio koniecznością. Dziesiątki tysięcy Żydów niemieckich emigruje pod wpływem silnego nacisku, skierowanego zarówno przeciw ekonomicznemu, jak i politycznemu i kulturalnemu podstawom bytu żydostwa niemieckiego.

To doprowadza nas do zagadnienia składu socjalnego i zawodowego emigracji żydowskiej. Również pod tym względem nastąpiła zmiana w latach powojennych i również ta zmiana wypadła na naszą niekorzyść. Emigracja żydowska przed wojną była głównie emigracją ludzi pracy. N. p. z pośród ekonomicznie aktywnych Żydów, którzy w latach 1900 — 1925 imigrowali do Stanów Zjedn., 60,3% — to czynni w przemyśle, a tylko 10,1% w handlu. W latach przedwojennych emigrowali przeważnie rzemieślnicy i robotnicy, albo w każ-

dym razie kandydaci na robotników. Okoliczność ta miała podwójnie pozytywne znaczenie: po pierwsze ułatwiała zakorzenienie się w nowym kraju, po drugie zaś, dzięki temu uwalniały się placówki pracy w krajach emigracyjnych i otwierały się szersze możliwości przechodzenia Żydów do pracy fizycznej.

W latach powojennych wszystko to uległo radykalnej zmianie. Zwiększył się odsetek ekonomicznie biernych na skutek ograniczeń imigracyjnych w większości krajów zamorskich. Tak n. p. w krajach amerykańskich nie wpuszcza się nowych elementów zawodowo - aktywnych, lecz wyłącznie krewnych. Tylko do kilku nielicznych krajów, przede wszystkim zaś do Palestyny płynie emigracja elementów ekonomicznie aktywnych.

Ta okoliczność pozbawia emigrację jej dotychczasowego znaczenia. Albowiem emigracja elementów ekonomicznie biernych nie oznacza tworzenia nowych pozycji pracy, nie zwiększa przepływu pieniędzy do kraju emigracji (w postaci wsparcia dla krewnych, którzy tam pozostali). A zatem znaczenie tak bardzo zmniejszonej emigracji żydowskiej w okresie powojennym maleje jeszcze bardziej z powodu składu socjalnego emigrantów.

Również oblicze zawodowe emigracji żydowskiej uległo znacznemu pogorszeniu. Dotyczy to zarówno Żydów niemieckich, jak i wschodnio-europejskich. Dla pierwszych istnieją nieco większe możliwości imigracyjne, nie mając jednak przygotowania zawodowego, nie mogą z tych możliwości skorzystać. Na odwrót przedstawia się sytuacja Żydów wsch. - europejskich: rozporządzają oni dostateczną ilością elementów pracujących, pozbawieni są wszakże możliwości emigrowania, albowiem nie wpuszcza się ich do krajów imigracyjnych. Tak oto powstaje zaczerowane koło, uwydatniające jeszcze silniej tragedię żydowskiego zagadnienia emigracyjnego w okresie obecnym.

Czyż nie ma wyjścia z tragedii tej sytuacji?

Odpowiedź na to pytanie znajdziemy przy omawianiu zadań żydowskiej polityki emigracyjnej.

Ale to już stanowi odrębny temat.

PISCHINGER TORTY - CZEKOŁADY

Inż. A. Glizer

Od Tel-Chaj do Tel-Amal

(Korespondencja własna „Steru“ z Palestyny)

Dokładnie w dniu 17-ej rocznicy śmierci Trumpeldora i towarzyszy jego w Tel-Chaj padł na polach Tel-Amal Chaim Bruk. Tamci i ten — to ludzie pracy pokojowej, tylko przez napastnika zmuszeni do chwycenia za broń. Tamci i ten — to członkowie kibucu, którzy przyjechali do Palestyny, aby budować nowe, sprawiedliwsze życie, nie wiedząc o tym, że los zgotuje im śmierć w walce z odwieczną żądzą mordu i zniszczenia. Tamci na najskrajniejszym północnym posterunku żydowskiej Palestyny, ten na najbardziej eksponowanym terenie najmłodszej żydowskiej kolonizacji. Trumpeldor, umierając, powiedział: „Dobrze jest umierać za Ojczyznę”. Bruk, umierając samotnie, zdołał zanotować: „Strasznie jest umierać tak młodo. Wszystko za naszą wolność!”

Wielkie są podobieństwa w zgonie tych dwóch, zgonie, który jakby dla podkreślenia biegnie się dnia jednego. Ale jest i wielka różnica. Ludzie z Tel-Chaj byli samotni. Wierzyli, choć nie mieli na to jeszcze dowodów, że są wysłannikami wielkiego, rozproszonego po świecie narodu. Ale na posterunku swym byli sami. W Palestynie nie było jeszcze wówczas prawie nikogo, na kimby się oprzeć mogli. Bruk, choć w chwili śmierci nikogo przy nim nie było, wiedział, że nie jest sam. Wiedział, że jest wysłannikiem Żydów swej pierwszej, niewdzięcznej ojczyzny, Niemiec, i każdego innego kraju świata. Wiedział, że jest częścią wielkiego organizmu żydostwa palestyńskiego, które walczy o swą przyszłość i wzrost, a to znaczy: o przyszłość całego narodu, z siłą, której nic nie zmoże, bo nie nie oprze się konieczności historycznej, nakazującej tę walkę.

Od roku 1920 do 1937 zmieniła się Palestyna. Uszliśmy szmat drogi. Liczba Żydów wzrosła siedmiokrotnie. Okazało się, że w ciągu jednego roku można teraz wprowadzić do kraju i gospodarce zaasymilować więcej ludzi, niż wynosiła wówczas cała ludność żydowska. Od nielicznych rozproszonych osiedli doszliśmy do wielkich zwartych terenów kolonizacji wiejskiej i dużych, rozwiniętych skupień miejskich, opartych na poważnym przemyśle, którego początków jeszcze nawet widać nie było przed 17 laty. Ze zbiorowości, we wszystkim prawie zależnej od zagranicy lub od sąsiadów, staliśmy się społeczeństwem samodzielnym, którego niezależność gospodarczą, zarówno jak polityczną i kulturalną bezustannie wzrastają. Nauczyliśmy się też przez ten czas wielu rzeczy. Nagromadziliśmy skarbiec doświadczeń, którego wartość dla przyszłej

pracy jest nieoceniona. Nauczyliśmy się pracować skuteczniej i lepiej, niż dawniej. Każdą pracę trzeba było zaczynać w Palestynie od abecadła. Ani teren, ani ludzie, nie byli przygotowani do skomplikowanych zadań, które przed nimi stanęły. Każdą rzecz trzeba było tworzyć od podstaw. Palestyna przeżyła tysiąclecia wielkiego rozwoju, który nie ograniczył się bynajmniej do wytworzenia tylko owych wielkich dóbr kulturalnych, dzięki którym kraj ten wycisnął swe piętno na historii świata, ale nagromadził też zasoby kultury materialnej, które umożliwiły skupienie w Palestynie wielomilionowej ludności. Lecz po owych wielkich tysiącleciach przyszły inne, które doprowadziły kraj do zupełnego upadku i zniszczenia. Odkrycie Ameryki zakończyło średniowiecze w Europie. W Palestynie skończyły się średniowiecze dopiero z przybyciem Żydów. Żydzi wnieśli do Palestyny wiek XX, albo, jak sir Herbert Samuel się kiedyś wyraził, może nawet i XXI. I wnieśli go w każdej dziedzinie. A przy tym przez ludzi, których w samej Europie do niedługo z tych dziedzin zgłola nie dopuszczano. Trzeba było nadrobić tysiąclecia zaniedbania kraju, a zarazem i wieki ghetto gospodarczego, oderwania od rolnictwa, odsunięcia od przemysłu podstawowego, skupienia, narzuconego zzewnątrz w wyższych kondygnacjach życia gospodarczego z pominięciem fundamentów. Od blisko 2000 lat nie było zbiorowiska żydowskiego, któreby robiło wszystko własnymi rękami. Jeśli mamy dziś takie w Palestynie, nie wywniosło się ono, jak deus ex machina. Trzeba było każdej nowej gałęzi pracy się nauczyć, każdą nową gałąź pracy zdobyć i przebrać. Ten proces nie jest zakończony. Po „zdobyciu” rolnictwa i przemysłu przyszła teraz kolej na zdobywanie morza. Lecz już teraz Żydzi nie tylko robią w Palestynie prawie wszystko, nie tylko „robią” pszenicę i nawozy potasowe, pomarańcze i elektryczność, warzywa i części maszyn, lekarstwa i domy, łodzie i szosy, marmur i cement, ale robią to dobrze. Ze spokojem można patrzeć na to powiedzieć: uszliśmy szmat drogi.

Wraz z doświadczeniem, któregośmy nabrali, i nauką, o którąśmy się z bogacili, ubył nam też nie jedno złudzenie. A najważniejsze z nich to, że Palestynę można zdobyć wielkimi słowami, naszymi lub cudzymi. Ani wielkie słowa deklaracji Balfoura, ani jeszcze większe nasze własne same w sobie nie posunęły nas ani o krok naprzód. Słowo jest na prawdę wielkie i ważne, o ile staje się początkiem czynów.

Deklaracja Balfoura jest ważna, bo otworzyła drogę do konkretnych czynów. Ale tyle tylko jest w niej treści, wiele w nią te czyny włożą.

Przekonał się, że ani Anglia, ani nikt inny nas w Palestynie skutecznie nie obroni, jeżeli się sami obronić nie potrafimy. Tym bardziej nie zbuduje nam ani Anglia, ani nikt inny Siedziby Narodowej, choćbyśmy o niej nawet dzień i noc mówili, jeżeli jej sami kamień za kamieniem nie wzniesiemy. Arabowie i Anglicy są w Palestynie czynnikami o wielkiej sile i podstawowej doniosłości. Ale są to

czynniki statyczne. Czynnikiem dynamicznym jest jeden: Żydzi. W ostatecznym rachunku zdecydować o przyszłości kraju wielkość energii, którą Żydzi w tym kraju rozwiją, i szybkość, z jaką to się stanie.

Tel-Chaj znaczy po hebrajsku „Wzgórze Życia”, Tel-Amal — „Wzgórze Mola”. Nie dlatego będą te nazwy historyczne, bo tu i tam ktoś w przeszłości padł, ale dlatego, że umarli Ci padli jednego dnia po to, aby żywi mogli przez wszystkie dni w mozołe budować lepszą przyszłość.

PRZED 50-ciu LATY

(„Izraelita“ — 1887r.)

Bolesław Prus, w jednej z ostatnich swych „Kronik tygodniowych”, wspominając o warsztatach, urządzanych przy tutejszych szkołach żydowskich, powstających „dzięki ich (t. j. Żydów) rozumowi i ofiarności”, wpada przy tej sposobności w melancholijną zadumę, i na pytanie „a my?” odpowiada sobie z goryczą: „My może będziemy dobiali o miejsca dla naszych dzieci w ich chajderach...?” Z tych rozmyślań na ciagle odgrzewany temat my i oni, a przedewszystkim z aluzji do chejderów, w których dzieci nasze mają się kiedyś o miejsca dobijać, można by wnieść, że Prus żałuje, iż sam do chejderu nie chodził, w skutek czego pozbawiony jest możliwości czytowania utworów swoich, drukowanych w przekładzie hebrajskim w dzienniku „Hacefira”, a bardziej jeszcze listów otwartych w piśmie tym do niego adresowanych.

„Hacefira”, mianowicie, pisze: „Tysiączne dzięki ci, pisarzu polski, obrońco Izraela, za to, żeś Żydów postawił jako wzór twojemu ludowi. Z pisania twojego widoczny jest, żeś chciał powiedzieć co następuje: Żydzi oto, których przedstawiamy sobie, jako do szczętu zmateriałizowanych, są prawdziwymi filantropami. Lud ten nie jest pozbawiony poczucia obowiązku obywatelskiego, jak Wam się to wydaje, lud ten nie jest zarażony indyferentyzmem, jak wy go o to pomawiacie; przeciwnie, on się nie zachowuje biernie, on jest większym od nas filantropem, lepszym od was obywatelem, więcej od was dba o dobro ogółu. Lud ten działa energicznie i wszelkie trudności zwalcza; zapatrujcie się na niego i naśladowajcie go!”

Otóż wyczytawszy tę myśl w słowach

Prusa, kronikarz „Hacefiry” objaśnia go, że Żydzi nie są wcale tak idealnymi, jakimi on ich sobie wyobraża, że gmina warszawska n. p. dla biednych swoich współwyznawców bardzo mało czyni, daleko mniej, aniżeli inni dla swoich robią. „A wiesz ty, szanowny Prusie, dla czego tak rzeczy stoją? Oto, dla tego, że u was nie ma partii i stronnictw tam, gdzie idzie o sprawę ogólną, a u nas dzieje się przeciwnie. My dzielimy się na postępowych, chasydów, pół i ćwierć chasydów, a jedni od drugich stronią i nawzajem sobie nie ufają, na czym cierpią mocno instytucje gminne i wszystko w ogóle, co wymaga szerszego i wspólnego ze strony całego ogółu poparcia... Nie masz więc nam czego zazdrościć, u nas pole pracy obszerne, ale robotnicy są leniwi. Lecz pocieszajmy się obaj nadzieją, że kiedyś i u was i u nas będzie lepiej, że przyjdzie chwila, kiedy każdy dojdzie do świadomości, iż jest członkiem wielkiego, ogólnego organizmu, dla dobra którego działać powinien. A wówczas wiedza zapanuje na ziemi, a błogosławieństwo i szczęście napełni świat jak woda oceany wypełnia!”

Tymi słowami, zapożyczonymi od Jezajasza, kończy list swój kronikarz hebrajski, dając delikatnie do zrozumienia adresatowi, że zapatrywanie się na kwestie społeczne z ciasnego punktu widzenia „my i oni” nie licuje ze stanowiskiem i powołaniem wieszczów, przemawiających do narodu, czy to z wyżyn mównicy proroka, czy też ze skromnej estrady felietonisty.

Dawne czasy, te same tematy, ale jakże inne stosunki.

Saul Czernichowski

ALEKSANDER PUSZKIN

Szczęśliwy ten Puszkina. Osiągnął bowiem takie wyżyny twórczości, że o nim powiedzieć można słowami Merimé: „poezja wyrasta z niego w sposób niezwykle, jakby sama z siebie, jakby z najmądrzejszej prozy”. I bądźmy wdzięczni temu — Aleksandrowi Wielkiemu poezji rosyjskiej — my, twórcy żydowscy, a zwłaszcza ci urodzeni w Rosji, bez względu na to, w jakim piszemy języku, czy w hebrajskim, żydowskim lub rosyjskim.

Pierwszy z wielkich poetów rosyjskich, który poczuł się europejskim i rzucił hasło: otwórzcie okno na Europę! Był tym korytem chłonnym i szerokim, którym płynęły bystre strumienie, jednoczące się w jednej wielkiej rzeczce, zwanej literaturą rosyjską. Był ową lutią srebrnostunna, która najgłębiej i najsubtelniej reagowała na wszelkie piękno muzy francuskiej, na każdą przepyszną strofę Byrona, aż sam stał się — puzonem rosyjskiego geniuszu. Rzecz niezwykle charakterystyczna, że w pierwszej fazie rozwoju naszej hebrajskiej literatury, wielki na nią wpływ wywierała poezja Schillera, przepojona dynamiką uczucia i wysokim, szlachetnym patosem. Nieznaczący natomiast wpływ wywierał Goethe, zarówno z epoki Sturm und Drang Periode, jak i z okresu klasycyzmu, kiedy był już olimpijczykiem. I tak dzieje się do dziś dnia! To samo da się skreślić, gdy chodzi o „Goethego słowian” — Puszkina, o którego wpływie na naszą najnowszą twórczość pisać będzie każdy historyk literatury. Gdy mowa już o wpływie Puszkina na naszą literaturę, zaznaczyć należy, że był on raczej pośredni, ze szkoły, której był twórcą, literatury rosyjskiej, w której głębokie i niezatarte ślady pozostawił, że oddziaływał na nas raczej bogactwem treści i zasięgiem myśli, niż piękną formą wypowiedzi i siłą poetyckiego wyrazu. Sam przecież stał na uboczu. Zjawisko to da się może wytłumaczyć tym, że Puszkina poczuł oddziaływać dopiero w ostatnich dziesiętnach lat, w okresie, kiedy jeszcze słońce berlińskiej haskali nie zaszło, kiedy wśród młodego pokolenia poczęły już nurtować idee „przyszłej, idącej, nowej Rosji”, kiedy budził się socjalizm i poczęła świtać rewolucja.

Nie mogli zrozumieć Puszkina ci, w starych formułkach i wytartych komunałach skostniałi krytycy i badacze literatury. Nie mogli zrozumieć tego niezwy-

kłego poety o najjaśniejszym chyba obliczu, w którego oczach palił się wieczny niepokój i głód świata, w którego żyłach płynęła burzliwa, poetycka krew. Są i tacy, którzy utrzymują, że jest to fenomen poetycki, obcy zupełnie duchowi żydowskiemu. Jeżeli tak jest w istocie, to czemu właśnie teraz, kiedy przywrócono mu koronę sławy i uznania, znajdujemy wśród wybitnych puszkiniologów wiele nazwisk żydowskich, że tylko wylizę chociażby Gersenzona, Lerner i Ichnoalda.

Mówiąc o Puszkinie, nie sposób pominąć jego cechy najbardziej charakterystycznej: uniwersalności, potężnego zasięgu jego geniuszu, który potrafił wtargnąć w głąb psychiki najrozmaitszych ludów i stworzyć atmosferę różnych epok. Czerkesi, cyganie, tatarzy, słowianie zachodni, Koran, Faust, Mozart, Borys Godunow — oto rozpiętość jego muzy i zainteresowań, oto uniwersalność Puszkina. Jego twórczość — to liryka, epika, dramat, powieść... Gdy Mickiewicz przeczytał po raz pierwszy Godunowa, zawołał w zachwycie: „Shakespeare eris si fata sinant. (Szekspierem będzie, jeżeli los mu sprzyja!)”

Puszkina pragnął również poznać i naszą duszę, duszę żydowską: wtargnął w jej zakamarki, prześwietlił jej istotę. Był może tym jedynym, który tego pragnął. Pozwól sobie z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że najlepsi pisarze rosyjscy — wyrażając się już bardzo ogólnie, i delikatnie — do naszych przyjaciół nie należeli. Wraz z ich sławą i fortuną rosła ku nam niewytłumaczona nienawiść. Przyjaciół mieliśmy raczej wśród poważniejszych pisarzy, którzy nie stali w pierwszych szeregach literackiego frontu. (Mordowcew, Korolenko). Miłość Gogola ku nam wydatniła się zbyt wyraźnie w opowiadaniu „Taras Bulba”. Nie trzeba również podkreślać, jaki był stosunek Dostojewskiego do Żydów, chociaż z nimi przez długi czas w ścisłym kontakcie. Skądże miał znać Żydów Turgieniew, ów bogaty szlachcic i ziemianin? Nie możemy też żadnych żywić pretensyj do Tołstoja. Pragnę tylko wspomnieć ową karykaturalną sylwetkę Czechowa. Czechow żył w mieście Taranrog. Wiemy, gdzie to miasto się znajduje i zdajemy sobie jasno sprawę, że takiej sylwetki żydowskiej nie mógł Czechow w swym mieście zobaczyć. Mógł się na nią natknąć gdzieś w zapadłej polskiej mie-

ście, albo w sercu ghetta żydowskiego na Litwie, ale skąd w Tagaurog? Może natknął się na nią wśród braci studenckiej w Moskwie, albo wśród żydowskich lekarzy ziemskich w powiecie charkowskim, albo spostrzegł ją w albumie przyjaciela — malarza Lewitana. Jak widać — w chwili inspiracji spłynęła nań łaska Suworina i — znalazł ją...

Także w pieśniach Puszkina znajdujemy bolesne dla nas zwroty, ale nie płynęły one z serca, nie były wyrazem jego nastawienia. Były to raczej słowa dla samego nawet Puszkina bez istotnej treści. Urodzony w Moskwie, bardzo młodo, jako dziecko jeszcze, osiadł w Petersburgu, a gdy nadszedł czas wygnania i wywedrował do Kiszyniowa a później do Odessy — nigdzie chyba nie mógł napotkać „parazytycznego jewireja”, o którym ciągle słyszał w najbliższym swym otoczeniu, w okresie nasilonego antysemityzmu, za panowania Mikołaja I. Wiemy, co myślały o Żydach w owym okresie nawet najbardziej postępowe i oświecone jednostki, nawet rewolucyjny obóz dekabrystów.

W Kiszyniewie po raz pierwszy zetknął się Puszkina z Żydami. Czy skorzystał ze sposobności, by zrewidować swój stosunek do nich? Z pism i wierszy nie wynika to zbyt jasno. Ale z niektórych epigramatów wyciągnąć można niewątpliwie wniosek o powolnej, lecz systematycznej zmianie poglądów w stosunku do narodu Izraela i co więcej — w tym okresie zawiera Puszkina znajomości z Żydami, nie wyłączając oczywiście — Żydówkę, a jeden z jego przyjaciół serdecznych był również, podkreślam to dobitnie — Żydem. Dowiedziałem się od pewnego rosyjskiego adwokata — Żyda, którego nazwiska nie wymienię, że Puszkina towarzyszył się z Żydem Lewintonem, (ojciec matki wspomnianego mecenasa), który był mandatariuszem nad dwudziestoma czterema koloniami bułgarskimi i przedstawicielem administracji charkowskiej, sprawującą rządę w jej imieniu. Był to jedyny europejski w tym kraju, znał wiele języków, pozostawał w intymnych stosunkach z tamtejszą szlachtą i był przy tym, jako Żyd, wielkim bezbożnikiem — palił w sobotę papierosy...

Na gorze Irnow mieszkał w tym czasie Puszkina. Odwiedzał go często Lewinton i długie wieczory spędzali razem w domu lub na spacerze. Kiedyś u stóp tej góry

rozłożył się obóz cygański. I w noc jasną i księżycową odwiedzali razem cygańskie niewiasty, a w jednym z nich spostrzegli piękną cygankę, w której Puszkina zakochał się odrazu i nieprzytomnie. A skoro kiedyś wracał w południe z namiotu cyganki, zamknął się w swej izbie, okna przysłonił okiennicami, zapalił świecę i pisał bez przerwy do późnej nocy. Cygan Wajku — to Puszkina sam, a Zemfira — to jego kochanka.

Ale o swoich żydowskich znajomościach mało pisał Puszkina, a właściwie wcale. Byłoby to może dla jego otoczenia zbyt egzotyczne i zresztą nie chciał drażnić opinii. Jeden z puszkiniologów zapewniał mnie, że napotkał na nazwisko Lewintona, nie zdołał tego jednak osobiście stwierdzić.

W późniejszych okresach miał Puszkina niedługo okazie poznać Żydów, ale nie tych z wielkich miast, z kulturalnych ośrodków, lecz Żydów prostych, skromnych i bezpretensjonalnych. Oto fragment listu Puszkina do swego brata z dnia 24 września 1820 roku: „Przybyłem do Jekatierinosława i bardzo się tutaj nudziłem. Urządzałem sobie spacery nad brzegiem Dniepru i jak zwykle — trzęsła mną mocno febra. Generał Rajewski, który udał się wraz z synem i dwiema córkami na Kaukaz, spotkał mnie w chacie żydowskiej. Siedziałem tam marzący i pętałem samowitwą wizję, bez lekarza, nad szklanką lemoniady, w której pływały kawałki lodu! Podobnie stwierdza lekarz Rodzowski: „Wszedł ze mną do ubogiej chłopskiej chaty, a tam na sofie, zbitej z desek, siedział młody człowiek, niegłolony i chory” (S. Wiestnik, 1841 No. 1)

Jak wiadomo — w Jekatierinosławie bawił Puszkina osiemnaście dni. Znalaziono go w domu — żydowskim. Tutaj miał niewątpliwie najlepszą okazję do wnikięcia w głąb duszy żydowskiej, do zrozumienia jej odruchów szlachetnych i prostych, do przekonania się, że pod dzwonnym, golusowym chałatem bije żywe, współczujące serce ludzkie. Było to niewątpliwie odkryciem dla rosyjskiego poety. Puszkina był predestynowany do dokonania takiego odkrycia. I oto po upływie paru lat poczęł pisać poemat ze współczesnego mu życia, czego nigdy żaden z poetów rosyjskich nie uczynił. Pozostały

tego poematu zaledwie drobne fragmenty — początek. I już z tych paru wierszy wnioskować można o jego niepospolitej i genialnej intuicji, która pozwoliła mu w kilku ryszach odnalazć tragedię biednej i wzgardzonej rodziny żydowskiej. Był on, jeżeli się nie myli, jedynym poetą rosyjskim, który rozumiejąc psychikę innych narodów i mając dla ich świętości narodowych i religijnych głębokie poważanie, nie znalazł dla nas słów potępienia, lecz przejął się tragicznym losem Żyda, gnanego w ciągłym niepokoju z kraju do kraju, z jednego krańca świata na drugi. Niezwykle charakterystycznym objawem sympatii Puszkina do Żydów i ich kultury, są znalezione przeze mnie w jednym z pism jego — słowa hebrajskie. Cóż to znaczy? Czyż Puszkina uczył się hebrajskiego? W jednym ze swych listów nie może się nawet nadziwić, jak piękny jest język hebrajski, jaka cechuje go jasność, precyzja i przejrzystość (obnażoność?) Niewątpliwie Puszkina uczył się hebrajskiego, bo jakże mógłby wydawać o nim opinie, gdyby go nie znał i się nim absolutnie nie interesował? Nie ulega żadnej wątpliwości, że świętego języka biblii uczył go właśnie Lewinton, przyjaciel z czasów kiszyniowskich. Ze o tym nigdzie wzmianki nie ma — rozumiałe aż nadto dobrze. Nie mogłoby tego przeboleć żydożercy rosyjscy wszystkich odcieni i ugrupowań. Ale i na nich przyszedł kres. Upłynęło lat pięćdziesiąt, a córka znanego w Moskwie historyka Iluwickiego wyszła za żonę za Żyda.

Kto chce badać rozwój naszej nowej literatury od pierwszej chwili jej powstania, ten nie będzie mógł przejść obojętnie obok wielkiej postaci Puszkina i obok tych wszystkich, których natchnął swym geniuszem, którzy w swej poezji noszą jego dziedzictwo. Kto nie zna Puszkina (a później i Fruga) nie zrozumie nigdy tajemnicy wspaniałego rozwoju poetów hebrajskich, na szkole rosyjskiej wychowanych. Bialik, Szymonowicz, Fichman, Jaffe — oto nazwiska, które są szczytem naszego poetyckiego olimpu. Puszkina czcąc będziemy jako jednego z największych geniuszy poetyckich świata, który świadomie lub nieświadomie pozostawił i w naszej poezji niczym niezatarty ślad.

Dr. Maksymilian Nussbaum

Abrabanel - polityk i pisarz

W historii Żydów daje się zauważyć pewne prawo, którebyśmy nazwali „prawem centrów”. Mam na myśli to zjawisko, że zagłada lub wypędzenie Żydów z jednego kraju powoduje w rozwoju historycznym powstanie ośrodka żydowskiego w drugim kraju, przy czym nowotworzące się centrum w zasadzie już istnieje, zanim ginące zdąży się ostatecznie zlikwidować. Pod tym aspektem rozpatrywać też należy zanik hegemonii Żydów w Palestynie oraz przeniesienie się jej najpierw do Babilonii, a potem do Hiszpanii. Ten kąt widzenia ułatwia też znacznie zrozumienie wielu, na pozór trudnych do pojęcia, zjawisk w dziejach naszych oraz przyczynia się do wyraźniejszego zarysowania się konturów odwiecznej żydowskiej wędrówki.

Kiedy przybyli do Hiszpanii pierwsi Żydzi? Dokładna data nie została po dzień dzisiejszy ustalona. Wydaje się jednak, że Żydzi żyli już w Hiszpanii za czasów republiki rzymskiej. Przybyli tu jako ludzie wolni, aby wysiedlić możliwości kraju. Gdy pierwsi jeńcy rzymscy, ofiary Wespazjanów, Tytusów i Herodosów, zesłani zostali do Hiszpanii, — istniało tu już wówczas skupienie żydowskie. Żydzi korzystali z prawa obywatelstwa w Hiszpanii, zanim jeszcze powstała w tym kraju noga Wizgotów. Żydzi Hiszpańscy z właściwą sobie dumą rodową pragnęli przeszłość swą w Hiszpanii notować aż od czasów zburlenia Pierwszej Świątyni. Przyjmowali, że już Nebuchadnekar ich tam osiedlił. Ba, istniała nawet rodzina żydowska w Hiszpanii, która poszła tak daleko, że szczyła się pochodzeniem od rodziny króla Dawida. Zwała się ona: *Abrabanel*.

Znane są dzieje, powodzenia i tragiczny finał hiszpańskiego żydostwa. Gdy wszelkie próby nawrócenia go na chrześcijaństwo nie doprowadziły do celu, królewska para: Ferdynand i Izabella uciekła się do radykalnego środka — wypędzenia Żydów z Hiszpanii. I tu wyszło na jaw ciekawe, w historii Żydów często się powtarzające, nastawienie psychologiczne naszego narodu. Atmosfera była naładowana, każdy rok przynosił co raz to cięższe przeżycia. Żydzi Kastylii i Aragonii odczuwali wszak, że przyszłość ich w Hiszpanii jest niepewna, ale nie zdecydowali się na emigrację, zamykali wprost oczy na rzeczywistość. Nastawienie to wytłumaczyć się daje następującymi motywy: kochali Hiszpanię, czuli się zrośnięci z kulturą tego kraju. Byli również pewni niewzruszalności swej pozycji w Hiszpanii. Ponadto liczyli na żydowskich zaufanych dworu królewskiego. Wreszcie darzyli wielkim zaufaniem

ostatniego żydowskiego męża stanu na Półwyspie Iberyjskim. Był to mąż, który zamknął łańcuch wielkich polityków żydowskich w Hiszpanii, łańcuch zapoczątkowany przez Chasdai Iba Szaportę. Związał się z Abrabanel, a urodził się w roku 1197 w Lizbonie. Mamy teraz rok 1937. Mija zatem 500 lat od daty jego urodzenia.

Życie tego człowieka — to ciągle zmieniająca się gra w politykę, naukę, służbę państwową, filozofię, finanse i mesjanizm. Skoro mu się tylko nie powiodła kariera polityczna, wnet oddaje się literaturze, pisząc wiele znamienitych dzieł. Działalność literacka urywa się natychmiast, gdy powołany zostaje do funkcji politycznych. Ścisłej mówiąc: początek i koniec życia stoją pod znakiem działalności pisarskiej, środek — pod znakiem polityki. Abrabanel — to natura szlachetna, ma umysł jasny, charakter szlachetny, jest skromny, nie umie lizać dla własnej korzyści, jest niezwykle utalentowany, w szczególności posiada głęboką znajomość prawa państwowego i skarbowości. Cechy te czynią dła a priori właściwą karierę polityczną. Alfons V, król portugalski, odkrywa też rychło jego talent, powołuje go na swój dwór i powierza mu kierownictwo całego aparatu finansowego państwa. Abrabanel zaproszenie przyjmuje, na dworze królewskim czuje się dobrze, zaprowadza ład w finansach państwa, a dom jego staje się ośrodkiem, w którym zbierają się dyplomaci i uczeni. Alfons był sprawiedliwym monarchą. Panowanie jego — to ostatni złoty okres dla Żydów portugalskich. Samodzielność gmin żydowskich zostaje w pełni usankcjonowana — rozprządzenia dla Żydów wydawane są w języku hebrajskim. Okres ten Abrabanel wykorzystuje dla żydostwa. Pomaga swym braciom, jak i gdzie tylko może, uwalnia więzionych Żydów, daje im zatrudnienie w placówkach gospodarczych kraju, skłania do zainteresowania się położeniem Żydów Papieża Sykstusa V — nic zatem

dziwnego, że żydostwo portugalskie czuło się bezpieczne pod troskliwą opieką tak ustosunkowanego męża zaufania królewskiego dworu. Gdy syn jego, Juda Leon Abrabanel, pragnie podać charakterystykę swego ojca, czyni, to w następujących słowach: „Był tarczą i murem ochronnym dla cierpiących, broniąc ich przed przemocą silniejszych; leczyl rany swych braci i odpędzał od nich groźnie pomrukujące lwy”.

Gdy Alfons V zmarł, nastąpił radykalny zwrot w karierze Abrabanela. Syn Alfonsa, Joao II był okrutnym, absolutnym monarchą. Polecił zgładzić wszystkich przyjaciół swego ojca i planował również zamach na Izaaka Abrabanela, który zmuszony był uciec z Portugalii. Schronił się do Hiszpanii, gdzie przyjęty został przez Żydów z wielkimi honorami. Abrabanel zaprzyjaźnił się z szczególnie z rabinem Iaaikiem Aboabem. Musiał tu pędzić życie prywatnego człowieka i los ten tłumaczył sobie jako karę za to, że zaniedbał tory i poświęcił się sprawom świeckim. Rozpoczął pracę literacką. Trwa to jednak bardzo krótko. Hiszpańska para królewska, Ferdynand i Izabella, powołuje go na dwór, powierzając mu kierownictwo spraw finansowych państwa. Los się powtarza: zaprowadza porządek w skarbie państwowym, jest powszechnie szanowany i ceniony i — wbrew Torquemado — ma wielu przyjaciół na dworze królewskim.

Rychło potem rozpoczyna się wojna Hiszpanii przeciwko Granadzie. Ostatnia twierdza Islamu staje się chrześcijańska. Państwo muzułmańskie rozpada się w nic. Hiszpania jest cała chrześcijańska. Zwycięzcy ogarnia szal: można było wypędzić ostatnich muzułmańskich niewiernych, czy nie można było również pozbyć się Żydów? W ten oto sposób inspiruje się i eksytuje masy, przygotowując psychologicznie podatny grunt dla wypędzenia Żydów z Hiszpanii. Ferdynand i Izabella nie mogą oprzeć się na-

strojom mas i poddają się. Abrabanel proponuje wielki okup, wyszukuje rozległe swe stosunki, prosi, żebrze, płacze... nic nie pomaga. Edykt zostaje podpisany i Żydzi muszą opuścić Hiszpanię.

Dokąd mają pójść? Część Żydów, wiedzioma zdrowym instynktem, kieruje wzrok na *Neapol*. Ferdynand okazuje się w gruncie rzeczy ludzki i ułatwia imigrację. Również Abrabanel osiedla się w Neapolu. Przez krótki czas żyje jako człowiek prywatny i oddaje się literaturze. I znów koleje losu się powtarzają: w krótki czas potem powołuje go Ferdynand na dwór jako specjalistę w sprawach finansowych. Poprawia wydatnie stan finansów, żyje w dobrych warunkach, cieszy się powszechnym szacunkiem i uznaniem, również za czasów następcy Ferdynanda, Alfonsa. Wtedy przychodzą Francuzi i Abrabanel ucieka na Sycylię, a potem do Korfu. Osiedla się w końcu w Monopoli w Apulii — bez pieniędzy, z dala od swej rodziny. Jeden z synów mieszka w Genui, drugi w Wenecji. Tam udaje się Abrabanel, aby raz jeszcze przejść właściwie mu koleje życia. Zrazu człowiek prywatny, potem przez krótki czas znów polityk, prowadzący rokowania gospodarcze między Wenecją a Portugalją. Zmarł wkrótce w Wenecji w 71 roku życia. Pochowany został w sposób bardzo uroczysty, z wysokimi honorami. Zwłoki jego przewieziono do Padwy. W rok później miasto to zostało zburzone. Naród żydowski nie zna do dnia dzisiejszego grobu jednego z największych swych synów. Czyżby to zdziałło podobny, jak u Mojżesza, pietyzm naszej tradycji?...

Jak już wyżej wspomniano, działalność naukową Abrabanela przypada na okres pośredni między początkiem a końcem jego kariery politycznej. Brzmi to może nieco dziwnie, ale człowiek ten predestynowany był na męża nauki, szczególnie na komentatora, nie w mniejszym stopniu, niż na polityka. Jest to rzadkie powiązanie dwóch różnych światów, powiązanie,

które spotykamy jednak u wielu wybitnych mężów żydowsko-hiszpańskiej historii.

Abrabanel posiadał niepospolitą znajomość języków, duże doświadczenie życiowe i doskonały zmysł orientacyjny w polityce. Dlatego też potrafił — szczególnie przy analizowaniu epoki powstania i upadku państwa żydowskiego — wskazać zupełnie nowe aspekty. Był on, zdaniem moim, pierwszym Żydem, który używał komentarzy chrześcijańskich, podjął się naukowego opracowania biblii, wprowadził systematykę do naszej tradycji, zapożytał każde swe dzieło we wstępie i wykaz treści. Nie wystarczyło mu też studiowanie gramatyki hebrajskiej, jak to zwykle czyniono do jego czasów. Posiadał pewną znajomość socjologii i badał niektóre epoki pod prawniczym kątem widzenia. Zwracał też baczną uwagę na pojęcie stylu w języku hebrajskim.

Od najmłodszych swych lat interesował się kilku zagadnieniami, które ukończył w rozpatrywaniu których duchowo i intelektualnie się wyżywał. Były to: jasnowidzenie, misja żydostwa i „zmartwychwstanie” (techiat-hametim), które w jego pojęciu ściśle łączyło się z mesjanizmem.

Należą do dzieł Abrabanela wylizczone przez niego komentarz do Jezajasza, „Jeszuot Meszicho” (zawiera wszelkie wypowiedzi Talmudu i Midraszu o Mesjaszu), „Maszmia Jeszua” (Saloniki 1526), wykazuje w tym dziele Abrabanel, że wszelkie przepowiednie proroków sprawdziły się; „Jemot-Olam” — dzieje martyrologii żydowskiej od Adama aż do czasów autora oraz komentarze do Tory i do „Proroków.”

Dzieła Abrabanela cieszyły się wielką poczytnością w świecie chrześcijańskim i przetłumaczone zostały na język łaciński, jak zresztą Abrabanel przetłumaczył na hebrajski teksty Tomasza z Akwinu. Abrabanel należy do najmniej znanych wielkich Żydów w naszej historii. Mało o nim się pisało, jeszcze mniej mówiło. A jeżeli już gdzieś go wspomniano, m. in. także u Graceta, przedstawiono go w fałszywym świetle. Epoka nasza, która postawiła sobie jako cel oświetlić dzieje narodu żydowskiego z nowego, narodowego punktu widzenia, — musi także skierować swe światło ku tej nieznannej wielkości. W polityce Abrabanela, w jego nauce, życiu i epoce odbija się symbolicznie żydowskie prawo dziejowe.

Minęło pięćset lat... Gdy naród sięgnąć może pamięcią w tak odległe czasy, aby przed nowym pokoleniem zrehabilitować jednego ze swych synów, — to naród taki stoi niewątpliwie pod znakiem wieczności.

W przygotowaniu

Numer święteczny

W POWIĘKSZONEJ OBJĘTOŚCI, KTÓRY ZAWIERAĆ BĘDZIE

bogatą treść polityczną i literacką

oraz dział inzeratowy

Roman Brandstaetter

Szwinder minder czyli dzieci jedzą ludzi

Propaganda antysemityczna, uprawiana dotychczas w nacjonalistycznej prasie polskiej, w publicznych przemówieniach ludo i judożerców, na ulicy i w domu, obecnie poczyniła szaleć w dziedzinie — literatury dla dzieci. Już się znalazły bogoojczyźniane paniusie, które powoli, lecz systematycznie, likwidują w polskim piśmiennictwie tradycję Orzeszkowej; tromtadrackim ojdaniaczkom zdaje się zapewne, że demokratyczne hasła „dobrej pani” z Grodna, przyczyniają się jedynie do osłabienia w narodzie ducha „samoobrony kulturalnej”. Jeszcze wczoraj pachole polskie nie posiadało w języku ojczystym odpowiedniego pokarmu antysemitycznego, a jedynie czerpało go z inteligentnych wynurzeń swoich domowników i z wymownego ostrzeżenia: „Nie płacz, bo cię weźmie Żyd”. Obecnie jednak i ta luka została wypełniona dzięki wierszykom pani Zofii Rogoszówny. Ukazały się one p. t. „Klitus-Bajduś”, nakładem księgarni M. Arcta. W ten to sposób wydawnictwo śp. Michała Arcta (gente iudaeus) nabyło prawo obywatelstwa w polskiej kulturze, zamkniętej wprawdzie dla p. Tuwima czy p. Wittima, ale stojącej otworem na ścieżaj dla zabłoconych buciurów towarzysza Dziarmagi i dla „niedonoszonego jęweja” Stanisława von Piaseckiego. I oto dziecina polska, wsłuchana w wierszyki madmłazeli Rogoszówny, już u progu swego doczesnego życia uczy się nienawiści rasowej i rączki z zachwytu w piąstki zaciska; dlatego, gdy bobus podrośnie i do szkółki uczęszczać pocznie, w słownictwie jego nie zabraknie zwrotu „Żyd parch”. A potem już wszystko logicznym biegiem wypadków poplynie, bo bobus w brzuchatego i wlochatego bobacha się zamieniwszy, kastetem Żydów obtłukiwać będzie, a uniwersytet przemianuje na bohaterski Alkazar, w majestatyczny pomnik kulturalnej samoobrony!

Die liebe, fesche Fräulein Rogosch w swoich wierszykach, ilustrowanych karykaturami Żydów o haczykowatych nosach i drapieżnych oczach — w tych słowach maluje dzieciakowi wygląd obywatela, cierpiącego na bolesny kompleks mniejszości:

*Głowa, jak bomba
nos jak trąba
uszy jak pantofle
oczy jak kartofle
a cała figura
podobna do szczura.*

Dzieciak raduje się i pulchną rączkę wyciąga po bródkę — Żyda.

*Poszedł Abram po wodę
krzak go chwycił za brodę
Aj waj, kimszaj!
mojej bródki nie ruszaj!*

*Szarpie Abram, trzyma krzaczek
aż mu wyrwał z brody klaczek
Aj waj, kimszaj!
mojej bródki nie ruszaj!*

*Uciekł Abram do ogródka
Aj waj, aj waj, moja bródka
Aj waj, kimszaj!
mojej bródki nie ruszaj!*

*Moja bródka nie dla ciebie
przyjdź zandarm, weźmie ciebie
Aj waj, kimszaj!
mojej bródki nie ruszaj!*

W takiej chwili w rozkosznym dzieciaku budzi się uczucie niskiej niechęci do biednego zapracowanego człowieka, do jego bolesnego trudu, do jego biedy. Bieda żydowskiego proletariusa — tragiczny motyw społeczny przeobraża się tutaj, pod czułym piórem Rogoszówny, w czwtnik rozsmieszający, komiczny, farsowy. Wartość takiego wychowania społecznego —

mówi sama za siebie. Więc cóż to za szlachetna pedagogia! Czyż o takim wychowaniu obywatelskim marzył Hugo Kollataj, gdy tworzył Komisję Edukacyjną, fundament pod gmach naprawy Rzeczypospolitej? Czyż o takim wychowaniu marzył Adam Mickiewicz w „Księgach Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego”? A może Brzozowskiemu śniła się taka edukacja społeczna?

Więc jad poczyni działać Dzieciak z wciąż rosnącym zaciekawieniem wczytuje się w nędzny wiersz, aż wreszcie odnajduje w nim jedno słowo, jedno drobne słowo, będące doskonałym skrótem jego niechęci do Żyda; słowo to brzmi: lcek! Tym słowem będzie potem nasz małe opluwał Żyda domokrację, gdy ten przypadkowo zabłądzi na podwórze aryjskiego domu. Posłuchajmy:

*Szła żydówka po ulicy
miała żydka w rękawicy,
Żydek się śmiał
pejsami chwiał.
Nie śmieję się tak, mały Icy,
bo wypadniesz z rękawicy,
moje lce, moje złote
z pejsami wpadnie w błoto.*

*Szwinder — minder
buty zszwał.
Nici nie miał
głową kiwał.
Szwinder — minder
nie jest głupi.
Weźmie szóstkę,
nici kupi.*

Wreszcie donna Rogoszówna dęlikaśnie

Dr. St. Rumelt

Nowa książka Unilowskiego wzbudziła ogólne zainteresowanie nie tylko wśród sfer literackich, co się tłumaczy wieloma względami. Przede wszystkim sam fakt skonfiskowania kilku partii powieści „Dwadzieścia lat życia” już zwrócił uwagę szerszej publiczności na tę książkę. Sensację tę powiększyła jeszcze dyskusja jury konkursowego „Wiadomości literackich”, których poszczególni członkowie, a zwłaszcza Tuwim i Słonimski, silnie forswali do nagrody powieści Unilowskiego. Wreszcie z nazwiskiem Unilowskiego łączy się niedawno miniony skandal dookoła jego nowelki „Dzień rekruta”, która wywołała silną reakcję w pewnych kołach. A debiut powieściowy („Wspólny pokój”, powieść skonfiskowana) Unilowskiego wywołał wielki skandal towarzyski, gdyż autor bez pardonu i obłonek wykipił wiele postaci warszawskiego świata literackiego.

Tyle huczku dookoła jednego pisarza jest bardzo dobrą reklamą, za którą tęsknią wszyscy młodzi literaci. Nic więc dziwnego, że na tle jałowego i nieciekawego życia literackiego stolicy „Dwadzieścia lat życia” stały się w tych warunkach ewenementem literackim, na który warto zwrócić uwagę.

Powieść Unilowskiego*) jest dopiero pierwszym tomem, a więc częścią większej całości, dotychczas nie wydanej, a może nawet jeszcze nie napisanej. Nie wiadomo, czy Unilowski uległ modnej dzisiaj cyklomanii, czy też zakończył swój utwór drugim tomem, dość, że w tym stanie rzeczy można mówić o dziele Unilowskiego z zastrzeżeniem, że dalszy ciąg czy dokonanie nie pozwoli nam dopiero dać pełny obraz przedstawionej rzeczywistości. Pierwsze,

*) Zbigniew Unilowski: „Dwadzieścia lat życia” 1937. Wyd. J. Przeworskiego.

sugeruje dziecku stary, oklepny cuchnący motyw — psa, czosnku i cebuli:

*Tam, tam, tam, tam za górceczką,
tańczył żydek z żydówceczką.
Baran beknął, pies zaszczekał
żydek zląkł się i uciekał.
Tam, tam, tam, tam za górceczką,
rosnie czosnek z cebuleczką.
Co się czosnek wygórjuje
to cebulkę pocałuje.*

Po przeczytaniu tego wiersza, w bezkrytycznej, lecz wrażliwej jak klisza psychice dziecka — uczucie niechęci do biednego Żyda rychło ustępuje uczuciu antypatii, antypatia przeobraża się w pokpiwanie, w szyderstwo, a szyderstwo w głucha, tępa, żywiolową nienawiść do „kapociarza”. I wtedy trucizna, śmiertelna trucizna, sączona w duszę dziecka przez jakieś tam nieodpowiedzialne wydawnictwo — poczyni rodzic owoc. Zmora Żyda, szar-



Autentyzm czy autobiografizm

co uderza czytelnika, to niewątpliwy motyw biograficzny, przewijający się przez całość utworu. Na riano to drobny tylko skrawek życia, a mianowicie drobiazgowy, wprost mikroskopijne zdjęcie każdego dnia życia dziesięcioletniego chłopca, rzucone na tło Warszawy i Krakowa w latach 1914—1920. Nie naszą jest rzeczą badać, ile momentu autobiograficznego zawierają te dzieje lat chłopięcych, ale warto zauważyć ciekawe zjawisko, (które zwróciło już uwagę czytelników „Wspólnego pokoju”), że autor w wierności odtworzenia środowiska i przeżyć osobistych dochodzi do takiej wierności psychologicznej i dokładności obserwacyjnej, iż wystawia sobie chlu-

bnę świadectwo szczerego i niezalganego analityka swych przeżyć często dosyć drażliwych i dwuznacznych. Wypowiedź szczerą, pozbawioną koloryzacji snobizujących się swoją przeszłością starszych panów, to atut w literaturze bardzo cenny, dostarczający autentycznych, a więc cennych materiałów psychologicznych. I to stanowi najważniejszą bodaj wartość artystyczną utworu Unilowskiego.

Ten nudny psychologizm, bliższy „Wyznaniom” Rousseau’a, niż „nagiej duszy” Przybyszewskiego, odsłania cenne zakamarki, wstydliwe zasłanianie przez wszystkich doświadczeń i estetyzujących pisarzy. Unilowski posiada niewątpliwy ta-

lent odtwarzania zupełnie autentycznych i zgodnych z prawami natury zjawisk życia, co w połączeniu ze śmiałością wypowiedzi i szczerością wyznania daje całość bardzo naturalną i pożyteczną dla poznania przeżyć chłopięcych. Daleki jest wprawdzie od precyzyjnej analizy proustowskiej, ale dla psychoanalitka pozostawia materiał bardzo ciekawy, choć może za mało obrobiony, instrument czuły, choć może za mało szlachetny.

Bohater, Kamil Kurant wychowuje się wśród dzieci Powiśla, które Unilowski odtworzył bardzo plastycznie i realistycznie, chociaż zupełnie nie zabrał głosu w sprawie doli dzieci wychowanych przez ulicę. I tym się różni od tych pisarzy, którzy opis nędzy czy wyższości stosują celem obrazowania swoich tendencji społecznych. Autor nigdy nie zajmuje stanowiska, nigdy nie moralizuje, nie wpływa, nie karci, nie agituje i dlatego Powiśle opisane w pięknych książkach Górskiej pozostawia wrażenie zgoła odmienne od uczuć, doznanych przez czytelników „Dwadzieścia lat życia”. Unilowski chce tylko odfotografować wiernie wszystko, co widział, słyszał, przeżył, przemyślał jego bohater małoletni, Kamil Kurant. Jeśli słyszymy jakieś zdanie czy przelotny sąd o rzeczywistości, to również nie tendencja, lecz opisy reakcji dziecka proletariackiego wobec otaczających go zjawisk i przemian społecznych.

I jeszcze jedna refleksja: Autentyzm, dokumentaryzm, literatura faktu, naturyzm, czy jak to uczeni nazywają — to motyw dziś bardzo mocny i aktualny w literaturze. Jako reakcja przeciw barokowi i pladze metaforyczności, a przez to często zbytnej stylizacji i konwencjonalizmowi ekspresji uczuciowej wniósł świeży, zdrowy powiew do piśmiennictwa i zagroził drogę epigonom Bandrowskiego (Rusinek et consortes). Ale z drugiej strony rozpanoszenie się reportażu, który często lekceważy podstawowe zasady artystyczne, oraz nadmiar biografizmu uszczupliły zakres tematyki i zasięg fantazji twórcy. Często powieści autobiograficzne starają się autentyzmem zapłacić luki, powstałe z braku koncepcji opartej na szczerze wyobraźni poetyckiej. (rzykowski ostatnio sygnalizował zalew rynku księgarskiego przez debiuty autobiograficzne, a ostatnie powieści choćby Peipera czy Parandowskiego, również autobiograficzne, potwierdzają nasze obawy. Dlatego należy śledzić ostrożnie i podejrzliwie rozwój autobiograficznych powieści, bo często pisarze przemycają swoje dzieła pod maską biograficzną, a koncepcji twórczej nie można zastąpić samym tylko materiałem biograficznym, choćby nawet bardzo bogatym i ciekawym. Potrzebny jest jeszcze do tego talent, który stworzy i obrobi surowy materiał, bo inaczej każdy będzie pisał swoje pamiętniki, od czego trzeba się uchronić. Powieść Unilowskiego zdradza niewątpliwy talent pisarski, który go ocalił od przekroczenia tej śliskiej granicy, ale ryzykowna jest rzeczą lawirować tak ciągle między fikcją a pamiętnikiem. Autobiografia w literaturze ma już dawno prawo obywatelstwa, ale też jest ograniczona w tych swoich prawach.

MGR. OSIAS ORENSTEIN.

Cycero po hebrajsku

1) Cato maior de senectute: traktat o starości, 2) Laelius de amicitia: rozprawa o przyjaźni — przetłóżył z oryginału łacińskiego i zaopatrzył wstępem i objaśnieniami Doc. Dr. E. Stein. Wydane przez „Achiewer” Warszawa.

Już na wstępie nasuwa się pytanie, jak świat klasyczny i jego kultura przedstawiają dla nas, ludzi doby obecnej, wartość i czy zasługują na to, aby się nimi zająć. Czy mogą dzieła sprzed dwu tysięcy lat budzić w nas zainteresowanie dziś, kiedy wtłoczeni zostaliśmy w rany życia pełnego łez i goryczy? Odpowiedź, po bliższym przpatrzeniu się sprawie, musi wypaść twierdząco.

Kultura klasyczna, przewyższająca wiele kultur starożytnych, jest pełną pogody, idealizmu, czaru i siły. W obecnych więc czasach może ona właśnie być bezcennym skarbem duchowym i siłą, pokrzepiającą nasze zbolełe serce.

Rozprawy popularno-filozoficzne Cyce-

rona o starości i przyjaźni są perłami klasycznej literatury rzymskiej. Cycero, usunięty z areny politycznej, przenosi się myślą i sercem w świat Scypionów i Katonów, tegich umysłów Rzeczypospolitej rzymskiej drugiego stulecia a.Chr.n. Niepowodzenie polityczne każe osamotnionej i znękaniej duszy Cycerona szukać pociechy w idealistycznej filozofii Platona. Nie wdaje się on jednak w ścisłe badanie greckich systemów filozoficznych, lecz podaje tylko popularny ich wykład, chcąc w ten sposób obudzić w szerszych warstwach zamilowanie do filozofii.

W traktacie o starości (Cato maior de senectute) przedstawia Cycero, jakby „gawędę” filozoficzną trójcy, złożonej z Katona, Scypiona i Leliusza. Ci dwaj ostatni słuchają z niezwykłym zaciekawieniem słów dostojnego i sędziwego Katona — wcielenia starości, jego wszechstronnych rozważań nad każdym zagadnieniem i stwierdzają głęboką znajomość życia i ludzi, zdobytą przez Katona drogą długo-

letniego doświadczenia. Kato występuje jako gorliwy obrońca starości i wykazuje jej wysokie nieprzemijające walory. Warto podkreślić, że już Cycero zaleca ludziom w podeszłym wieku ćwiczenia cielesne dla zachowania świeżości ciała i czystości ducha. Dzieło to przykuwało uwagę wnikliwego czytelnika we wszystkich czasach, począwszy od starożytnych, a kończąc na najnowszych. Nie będę tu wymieniał uczonych i artystów, którzy z zachwytem wspominają szczerze myśli, zawarte w traktacie o starości. Faktem, jest, że czytanie tej książki popularno-filozoficznej wzbogaca zasób myślowy i wywiera silne niezatarte wrażenie.

Przejdźmy z kolei do rozprawy o przyjaźni (Laelius de amicitia). Jest ona pod wieloma względami podobna do traktatu o starości. Zarówno na jednym, jak i na drugim dziele wyciśnięte jest piętno „gawędy” filozoficznej. Cycero nie rozpatruje przyjaźni z punktu widzenia filozoficznego, interesuje go raczej jej strona praktyczna, a więc cele i zadania przyjaźni wobec ludzi poszczególnych, społeczeństwa i państwa. Czy można więc uważać za nieaktualne dzieła, odznaczają-

ce się pięknem formy i powagą treści? Czy ideały, które przyswicały Cyceronowi, nie są również jeszcze po dzień dzisiejszy naszymi ideałami?

Powinniśmy być wdzięczni znanemu uczonemu żydowskiemu, d-rowsi Steinowi, za to, że przyswoił literaturze hebrajskiej utwory, na których wszystkie narody europejskie kształciły swe mózgi i serca. Porównując oryginał z przekładem, stwierdzamy z zadowoleniem, że dr. Stein oddał wiernie treść utworów, a jednocześnie przestrzegając figur retorycznych i rytmu właściwego prozie Cycerona, co narzuca poważne trudności przy tłumaczeniu. W objaśnieniach umieszczonych pod tekstem wykazał niezlicznie krzyżowanie się wpływów starożytnych literatury hebrajskiej i literatury klasycznej, przez co zaciętnie jeszcze bardziej węzeł, łączący czytelnika żydowskiego z autorem klasycznym. W uznaniem podnosimy więc zasługi d-ra Steina dookoła wzbogacenia naszej skarbicy ducha dziełami, którym się należy zaszczytne miejsce w każdym księgozbiore hebrajskim.

LION FEUCHTWANGER

FAŁSZYWY NERON

POWIEŚĆ

6)

10.

CIERPLIWOŚCI!

Garncarza Terencjusza kusilo mocno, aby swej żonie Caji opowiedzieć o rozmowie z Varronem, dowiedzieć jej, która nazwała go szarym człowiekiem, że inni uważają go za kogoś zupełnie innego. Wiedział jednak, że naraża triumf swój na niebezpieczeństwo, jeśli okaże go przedwcześnie. Opanował się więc i żył nadal jak dotychczas, zajmując się jedynie sprawami cechu.

Caja jednak знаła swego Terencjusza na wylot. Mógł jak dawniej chodzić godnie za sprawami zawodowymi, mógł być jak dawniej ruchliwy i zajęty, mógł udawać, że jest bez reszty przejęty interesami codziennego dnia, odgadywała po niedostrzegalnych prawie drobiazgowych, że było coś innego jeszcze coś wielkiego i niecodziennego co go absorbowalo. Coś musiało się wydarzyć. Sposób, w jaki zagłębiał się w sobie, kiedy myślał, że jest sam, w jaki czasem wdychał marzycielsko i lubieżnie, jak mężczy się we śnie, podczas gdy twarz jego promieniała, lub pokrywała się cieniem — wszystko to przypominało jej zachowanie się Terencjusza w owych czasach, kiedy wzywano go na Palatyn.

Zresztą podniosły nastrój Terencjusza nie trwał długo. Wprawdzie mówiono w Edesie jak również w całym Międzyrzeczu co raz więcej o szczęśliwych czasach cesarza Nerona, wdychano i jęczano pod wielkimi ciężarami, jakie nakładał na ludność Mezopotamii nowy gubernator i co raz bardziej poważnie szeptano i to co raz częściej, że tak dalej być nie może, że wkrótce musi nadejść kres, że cesarz Neron żyje jeszcze i wkrótce zjawi się w całej świetności, aby ludowi Międzyrzecza na nowo dać wolność i chleb. Terencjusz chwicie paść się temi poszeptami, ale słabo koily one mękę jego oczekiwania. Minęły już bowiem tygodnie i miesiące, a Varro nie dał żadnego znaku życia. Senator bowiem uważał za właściwe przetrzymać Terencjusza. Z chwilą, kiedy człowiek ten złapał przynętę, należało podreżyć go trochę, aby nie stał się zbyt pewny siebie. Varro więc trzymał się z daleka, w Antiochii, jako wielki pan niesłychanie odległy od garncarza Terencjusza, prawie dlań nieosiągalny. Od senatora Varrona nie nadeszła żadna wieść do garncarza Terencjusza.

Nie był to łatwy okres dla Terencjusza. Częstokroć wątpił, czy to, co przeżył wówczas, było rzeczywistością, czy naprawdę wielki senator Varro mówił z nim jak równy z równym, ba, nawet uniżenie, przemawiał do niego, jak do cesarza Nerona. Za cenę życia pragnął omówić to wydarzenie z Cają. Wiedział jednak, że conajwyżej powie mu, że wmawia to tylko sobie, albo, w najlepszym razie, że Varro zamierza zrobić zeń sobie straszną jakąś i poniżającą zabawę. A tego właśnie nie chciał Terencjusz usłyszeć, gdyż nie mógłby żyć dłużej, gdyby tak być miało.

Ukrywał zatem. jak się tylko dało, zamęt wewnętrzny przed jasnymi badawczymi oczyma żony. Co raz chciwiej wypatrywał dowodów tego, czy Varro był jedynym człowiekiem, który poznał, że jest on w rzeczywistości cesarzem Neronom. Nic nie świadczyło jednak, że co raz więcej kosztowało go trudu pozostawanie godnym, pełnym znaczenia, pewnym siebie mistrzem cechowym Terencjuszem, którym był jeszcze przed nie wielu tygodniami.

Zdobył się na jedną tylko koncesję dla swych snów. Czasami cesarz Nero, aby lepiej widzieć podnosił do swych krótkowzrocznych oczu zwykle do lewego oka szmaragd. Terencjusz kupił sobie szmaragd. Nie było bynajmniej łatwe upozorowanie przed Cają zamachu na kasę przedsiębiorstwa, jakiego ten zakup wymagał i nie całkiem się mu to zresztą udało. Szmaragdu, oczywiście, nie pokazał nikomu. Wypróbował go w samotności, przykładając go to do lewego, to do prawego oka, cieszył się jego zielonym połyskiem.

Kiedy mu nawet to nie pomagało, uciekał ze swymi zwątpieniami do labiryntu. Tam w ciemności ukrytej komnaty wsłuchiwał się w siebie, póki nie usłyszał wewnętrznych głosów, swego Demona, który przemawiał doń i zapewniał, że jest Neronom i że wszyscy go z czasem poznają.

Na razie jednak nie poznawano go, Varro zaś milczał w dalszym ciągu. W końcu Terencjusz nie wytrzymał i napisał doń list do Antiochii. List ten był pokorny, jak należy się listowi klienta do swego dobroczyńcy. Terencjusz pisał mu o sprawach swej fabryki ceramicznej, o małych wydarzeniach miasta Edessy, o sprawach cechu. Pod koniec jednak, a było to jedyne wspomnienie o owej rozmowie, na jakie sobie pozwolił, wplótł zdanie, że może zezwolił bogowie na to, aby w krótkie zaprzestał nagabywać swego dobroczyńcę tym podobnymi kwestiami, które tak dalece odsuną się od niego, jak o tym śni czasem. Przeczytał ten list powtórnie i znalazł, że jest nie zły. Teraz musiał się Varro wypowiedzieć. Jeśli chciał prowadzić w dalszym ciągu to, co wówczas rozpoczął, to odpowie na to zawaolowane zdanie, jeśli zaś nie chce, wówczas potraktuje ten zwrot, jako jedno z wieloznacznych i kwiecistych zdań, w jakich lubował się Wschód, i przedzie nad nim do porządku dziennego. Jeśli zaś tak postąpi, Terencjusz znów się pograżać będzie musiał w codzienność Edessy. To było jednak niemożliwe. Varro zrozumie i odpowie.

Niesłychanie powoli miały następne dni. Wiele listów nadchodziło z Antiochii, niektóre nawet do Terencjusza, żaden z nich jednak nie pochodził od Varrona. Terencjusz wyznaczył sobie termin, do którego Varro musi odpowiedzieć. Najpierw sześć dni, potem dziesięć, wreszcie dwadzieścia. Ciągłe powtarzał sobie: Cierpliwości! Aby utrzymać się w rękach cytował wiele wierszy klasyków odpowiedniej treści. Recytował je wobec Knopsa, swego niewolnika, przed którym mógł się mniej krepować, niż przed żoną. Razu pewnego nawet rzekł do Knopsa, że stoją wobec bliskiej zmiany, — tym podobne słowa powtarzał przed nim często, — i żarliwie, gorąco cepiając się nadziei, zmużywszy ponuro i surowo krótkowzroczne oczy, powtarzał, bardziej dla siebie, niż dla Knopsa, początek homeryckiego wiersza: „Nadejdzie on, dzień ów.”

Niewolnik Knops cofnął się przed zielonym błyskiem, był mądry i nie pytał o nic; wchłonał chciwie dziwne ruchy i słowa swego pana i długo o nich rozmyślał.

Knops — imię to oznaczało Dzikie Zwierzę, albo też Dzikus. Knops zaś kładł nacisk na to, aby imię jego wymawiano porządnie z długim greckim O — był smukłym człowiekiem, wyglądającym nad wiek młodo. Jakb dziecko, dostał się był już do rodziny Terencjusza; opieszały dłużnik dał go jako zapłatę za swój dług staremu Terencjuszowi. Knops urodził się w Cylicji i dobrze czuł się na Wschodzie. Był to sprytny, służalczy chłopak, o bystrych oczach. Terencjuszowi, dla którego był podległym młodszym towarzyszem zabaw, okazywał z zawisłości pełen podziw. Podziwiał jego pańskość i władczość i ślepe zaufanie, jakie Terencjusz żywił dla samego siebie, ale i nienawidził go również za te zachodnie właściwości. On, Knops, prowadził całe przedsiębiorstwo przy ulicy Czerwonej i jeśli fabryka Terencjusza w Edesie wybiła się tak szybko, to tylko dzięki niemu. Prawdopodobnie mimo szpiegowskich oczu Caji odłożył sporą sumkę dla siebie, ale jego działalność nie mogła być wynagrodzona pieniędźmi. Właściwie, zgodnie ze zwyczajem, powinien był Terencjusz oddawna darować mu wolność, nie jeden nawet zadawał sobie pytanie, dlaczego Knops, z chwilą, kiedy pan jego zwlekał z nadaniem mu zasłużonej wolności, od dawna już sam po nią sięgnął. Wtedy na przykład, kiedy Terencjusz po upadku Nerona zmuszony był do ucieczki, mógł zżeczny, inteligentny, Knops z łatwością uciec, nie obawiając się pościgu, ze strony swego pana, ponieważ Terencjusz sam miał wszelkie powody do pozostawania w ukryciu. Jeśli Knops wówczas i później pozostawał przy Terencjuszu, to działo się tak dla tego, że żywił zabobonne zaufanie, że pan jego kiedyś się jeszcze wybije i że wówczas jego wierność dobrze mu się opłaci.

Kiedy teraz Terencjusz pełen cichej, żarliwej wiary cytował wiersz Homera „Nadejdzie on, dzień ów”, niewolnik nie brał bynajmniej tych słów za pustą gadaninę. Zestawił je raczej natychmiast z pogłoskami jakoby cesarz Nero żył jeszcze. O zmianie, oczekującej ich, opowiadał mu Terencjusz już w czasach swej tajemniczej nieobecności w Rzymie, dodając obietnicę, obdarowania go wolnością z chwilą gdy ta zmiana zajdzie. Aczkolwiek Knops długo już czekał na tę chwilę, nie był jednak jeszcze zmęczony czekaniem, teraz zaś grzała mu serce myśl, że wreszcie istotnie zmiana owa nadejdzie, wówczas zaś spełni się marzenie jego życia: osiedli się gdziekolwiek na Wschodzie, jako samodzielny przedsiębiorca, poniżej swych przyjaciół, rozpowszechniać będzie o nich złośliwe plotki i aroganckie dowcipy.

Wieczorem tegoż dnia Knops udał się do jednego ze swych najbardziej zaufanych przyjaciół, majstra garncarskiego Goriona: U niego zwykle spędzał większość swego wolnego czasu. Ów Gorion pochodził z ludności tubylczej, był tłusty, miał okrągłą głowę i małe, chytne oczka, chętnie rozmawiał, pomagając sobie gestykulacją, zresztą tak samo, jak Knops. W przeciwnieństwie jednak do Knopsa zużywał swą ruchliwość nie na pracę, lecz zapełniał dni ciekawym poszukiwaniem plotek, przesiadywaniem niby w interesach a istotnie dla przyjemności u swych licznych znajomych, plotkowaniem i przeklinaniem. Był przebiegły, lekkomyślny, pełen zainteresowania dla licznych zmian politycznych w swym mieście. Każdą zmianę witał z nowym zachwytem, aby z tym większym rozczarowaniem tęsknić potem za przeszłością.

Ojcowie i praojcowie tego Goriona od wieków siedzieli w tym kraju, widzieli nadejście i upadek panów babilońskich, asyryjskich, greckich, rzymskich, perskich, arabskich, przyjmowali nowych panów, jak słońce lub grad, czy powódź. Kleli i trwali. Uczepili się ziemi, żywili się, płodzili dzieci, czcili boginię Taratę i jej ryby i pracowali tyle, ile trzeba było, aby się utrzymać i oddać zwycięzcom to, co wymuszano na nich biciem i torturami. Obecny książęta i panowie znikli, ojcowie Goriona pozostali. Teraz on sam kłął i trwał, jak oni niegdyś kleli i trwali.

Otóż z tym Gorionem Knops przyjaźnił się naprawdę, częściowo dla tego, że czuł się pochlebiony tem, że Gorion, człowiek wolny, tak chętnie z nim rozmawia, częściowo zaś dla tego, że pewny był, iż przewyższa go fachowością, znajomością świata i inteligencją. Z zainteresowaniem i znanstwem spoglądał Knops na dwunastoletnią córkę Goriona, małą Jaltę, i wymógł na Gorionie obietnicę oddania mu Jalty za żonę, w chwili gdy nadejdzie owa wielka zmiana, on zaś przestanie być niewolnikiem. Dzisiaj, ponieważ był przekonany, że nadejdzie w krótko ów dzień, upajał się głośno, słodkimi lubieżnymi snami o tem, co przeżyje z małą Jaltą pierwszej nocy. Gorion jednak, ojciec Jalty podnosił na Knopsa, niewolnika z Cylicji, palec grożąc żartobliwie, i cytował raz po razie stare przysłowia; wyszydzałyce Galicyjczyków.

Na co Knops, dotknięty w swej patriotycznej dumie, niezwykłe, jak na niego, gorąco odpowiedział, że: czy Gorion chce czy nie chce, on, Knops, spać będzie z jego Jaltą. Na to nie mógł Gorion pozwolić i rzekł drwiąco: „Spójrzcie na niego, na Knopsa z Cylicji”, wymawiając przy tym imię Knops z ostrym, krótkim O. Knops jednak, ufając słowom swego pana, stał się jeszcze słodszy i odparł, że spać będzie nie tylko z córką Goriona, Jaltą, ale nawet z jego boginią Taratą. To ostatnie niesłychane bluźnierstwo rzuczone przez niewolnika jego ukochanej świętości wzburzyło tak bardzo Goriona, że rzucił mu w głowę pełen kubek wina; nie wielka to zresztą była strata, ponieważ wino było już nieco skwaśniałe.

Gorion przypuszczał, że Knops odpowie na obrazę potokiem gwałtownych przekleństw. Nie zaszło jednak nic podobnego. Niewolnik otarł spokojnymi ruchami wino z twarzy i rzekł cicho: „Miej się na baczności, Gorionie. Może się zdarzyć, że ten, z którego sztych, okazać się może nagle dobrym przyjacielem bardzo potężnego pana.” Wyrzekł zaś to zdanie z taką powagą i takim spokojem, że garncarz Gorion umilkł.

Kiedy zaś Knops w ciągu wieczora powtórzył raz jeszcze, że może nadejdzie wkrótce pewna zmiana, Gorion nie puścił tych słów mimo uszu, jako nic nie znaczącej gadaniny, lecz długo jeszcze badał je w swym sercu.

CZASEM NAJKRZYWSZA DROGA JEST NAJPROSTSZA.

Varro, pozostawiając Terencjusza w stanie niepokoju, sam musiał ćwiczyć się w cierpliwości. Prowadząc w dalszym ciągu

ożywione życie w willowej dzielnicy Daphne, czekał z coraz wzrastającym napięciem, kiedy wreszcie Ceion wypowie się za Pakorem. Ceion jednakże zwlekał z decyzją.

Varro postanowił sprowokować go. Wszędzie rozpowiadał, jak ważną jest dla Rzymu sprawą uporządkowanie stosunków z Partami i uznanie Artabana, wiedział, bowiem, że słowa jego powtórzone zostaną Ceionowi. Ze skrzyni swej wyciągnął znów pokwitowanie z opłaty podatku inspekcyjnego i pokazywał je wszystkim w Antiochii, dowcipkując złośliwie na temat praworządności i manii wielkości gubernatora.

Przed wszystkim zaś postarał się o to, aby puścić w obieg, poczynając od Daphne, nowe imię Ceiona, to śliczne przezwisko swego dawnego kolegi: Straszak. Przewisko spodobało się lubięmu żarty ludowi Syryjczyków, szybko dodano sprośne uboczne znaczenie i rozpowszechniono lotem strzały po całym Wschodzie tak, że imię Ceion zostało zapomniane dla imienia Straszaka. Kiedy zaś rząd niezręcznie zredagowanym dekretem zabronił używania tego imienia, humor ludowy zastąpił je dowcipnymi synonimami i zarówno w szynkach, jak i na ulicy, śpiewano kuplety, których pointe'ą były pauzy, nie dające się zastąpić żadnym innym słowem poza imieniem Straszaka. Wszędzie tysiącami sprzedawano teraz publicznie owe lalki drewniane o ruchomych członkach, które za pomocą małej dźwigni podosiły się z poprzedniej swej skulonej pozy i znów się zapadały — lalki te były wprost rozrywane. Varro nie cofnął się nawet przed rozdaniem gościom takich lalek na jednym z przyjęć. Ceion musiał się wypowiedzieć za Pakorem.

Gubernatora drażniło do głębi to, że przewisko, pochodzące jeszcze z jego chłopięcych lat, o którym dawno już zapomniano w Rzymie, teraz znów kłuło go i dręczyło na Wschodzie. Irytowało go również i to, że przykróść została jeszcze pogłębiona przez wydanie edyktu. Jego doradcy odradzali mu, tłumaczyli, że złośliwy Wschód znajdzie tysiące dróg na obejście zakazu. Nie chciał temu wierzyć. Teraz widział skutki: jego poniżenie pogłębiło się jeszcze.

Spotkawszy się z Varronem, przede wszystkim postarał się usprawiedliwić wydanie zakazu, tłumacząc, że nie kierował się wyłącznie próżnością. Gdyby ci ludzie, wyjaśniał, tym głupim przewiskiem zamierzali dotknąć tylko osobiście jego, spokojnieby im na to pozwilił. Ale ta arogancka, buntownicza orientalna hołota chciała za pomocą tej obelgi drwić z całego Rzymu. Chodził przecie o prestige Rzymu i dlatego musi wszelkimi środkami upokorzyć tę hałastrę.

Varro słuchał uprzejmie i współczująco. Przyznaje, odpowiedział, że to ciężka sprawa; takimi środkami, jak edykt, Ceion na Wschodzie nie wywalczył sobie uznania. Mieszkańcy Antiochii zawsze obdarzali przydomkami swych władców, aktorów, jeźdźców i atletów, uważają to za swój przywilej, którego nikt dotychczas nie naruszył. Mądrzej jest pozwolić psom szczekać, niż doprowadzić do tego, żeby kasały. Jeśli wolno mu Ceionowi radzić, to uważałby, że Ceion powinien ludność tutejszą tak traktować, żeby powoli przewisko zatraciło swe złośliwe znaczenie i nabrało piśszczotliwego brzmienia. Cofnął się o krok, aby móc lepiej widzieć swymi dalekowzrocznymi oczyma twarz Ceiona, wypowiedział przewisko, jak smakosz, powtórzył je dwa, trzy razy, przyjaźnie topił je na języku: „Straszak, Straszaczek.”

Ceion z cierpką miną przesuwał czubkami palców jednej ręki po dłoni drugiej i w ułamku sekundy jadłowicie błysnął swymi twardymi oczami na Varrona. Oczywiście, wiedział, że przewisko pochodziło od niego. Niemądrze było ze strony Ceiona, że chciał być zrozumiany przez tego człowieka, którego jedynym celem mógł być właśnie ten czczy żart. Varro zaś wiedział, co działo się w duszy Ceiona. Triumfował: Straszak nie uzna Artabana. Straszak sam wyczaruje cesarza Nerona — swój los.

Z zimną krwią parł naprzód. Spytał z troską, czy Ceion, ciągle jeszcze nie zdecydował się, którego z obu partyjskich pretendentów uznać należy. Z naciskiem powtórzył radę wypowiedzenia się za Artabanem.

Ceion odparł chłodno, że dał już raz Varronowi okazję wyrażenia swej opinii i że on sam, Ceion, rozważył dokładnie argumenty przyjaciela. Ceni znajomość sprawy Varrona, istnieją jednak również inni znawcy i to powszechnie ceni, którzy głoszą pogląd wręcz przeciwny. Nie wątpi o dobrej woli Varrona, ale może rady tej udziela mu — nawet wbrew własnej woli — nie tylko jako dobry Rzymianin, ale i „Przyjaciół Wielkiego Króla”, wielkiego króla Artabana — dodał z lekkim sztychtem. Decyzja, jaką ma powziąć, będzie brzemnienna w skutki, poza tym zaś nie działa tylko dla siebie, jest bowiem odpowiedzialny przed cesarzem, — zakończył pompatycznie.

Varro udał zdumienie i przynębnienie. Opuścił pałac, triumfując.

W trzy dni później gubernator zakomunikował oficjalnie, że w sprawie odnowienia traktatu pertraktuje z Pakorem, jako z wielkim królem Partów.

12.

TERENCJUSZ PRZEOBRAZA SIĘ PO RAZ DRUGI.

Termin, jaki ustanowił sobie Terencjusz, zanim porzuci wszelką nadzieję, minął. Jednakże nadziei nie porzucił. Minął jeszcze jeden tydzień i jeszcze jeden. Wreszcie nadeszła wiadomość od Varrona.

Było to długie pismo. Z lękiem i niecierpliwością przebiegł je Terencjusz oczyma. Varro nie pisał sam, polecił odpowiedzieć sekretarzowi. Dokładnie, trzeźwo rozpatrywał każdy szczegół wspomniany przez Terencjusza i Terencjuszowi zamierało serce. Ale patrzcie: kiedy list dobiegł już końca, znalazł się jeszcze dopisek i to dodany ręką Varrona. Spodziewa się, brzmiał ów dopisek, że bogowie zechcą w krótkie zesłać ową zmianę, o której Terencjusz pisze.

(C. d. n.)

W cieniu Prousta i Joyce'a

**KRONIKA
LITERACKA**

Powieść ostatnich kilku dziesięcioleci walczyła z tą samą siłą o zblizenie się do rzeczywistości, jak o — ucieczkę od niej. Z jednej strony wyostrzano środki wyrazu dla uchwycenia i nazwania najmniej uchwytnej treści; z drugiej zaś, cofając się ku stanom wewnętrznym jednostki, zagubiono się w niej. Uczyniono ją zjawiskiem suwerennym. Jej myśli, kaprysy, sny i przywidzenia, narzucały się światu jako nowa jego prawidłowość. Okazało się, że świat w ten sposób stworzony, może być tak samo w sobie zamknięty, jak n.p. świat fizyki. Wymaga tylko jednego warunku: właśnie — zamknięcia się w nim. A wtedy przeżywamy inaczej czas i przestrzeń, życie bieżące i minione, autentyczne i fikcyjne. Z takiego zamknięcia wyrosło dzieło tłumaczonego ostatnio na język polski Marcela Prousta, świat Joyce'a i innych. Pewne pierwiastki tego typu twórczości przenikają co raz wyraźniej do powieści naszej.

W tym formacie, w jakim powyższe zjawisko występuje u wspomnianych autorów, nabiera ono znaczenia społecznego. Zahacza bowiem o kwestię *wolności*. U Prousta n.p. wizyta, rozmowa stołowa, drobny epizod w pensjonacie, wspomnienie jakiejś małoważnej czynności z dzieciństwa i tysiące podobnych szczegółów, — urastają do rozmiarów wydarzeń, nie epizodycznych, traktowanych na tej samej płaszczyźnie ważności i poddawanych tej samej mikroskopijnej obserwacji i ostatecznej analizie.

Przypatrzmy się bliżej: Zasób refleksji i odczuwań jest tu niewyczerpany. Autor, odcięty z powodu choroby od szerszego nurtu życiowego, wyposażał najniklejsze przygody swego dnia z całą hojnością. Proza proustowska pęczniała po prostu od tej dysproporcji: zjawisko bardzo charakterystyczne dla całego pokolenia, wychowanego na tym typie powieściowym i dla niejednego już z naszych pisarzy. Rzeczy drobne nie kłępią, służą jako doskonała odskocznia do swobodnych i nieograniczonych skojarzeń. Dokąd sięgają będą i skąd zaczną czerpać, jest rzeczą obojętną. To, co poglądy i normy społeczeństwa uważają za ważne, ważniejsze, lub mniej ważne, — tu nie obowiązuje, nie przenika po prostu do tego świata. Rozstrzygają tu stany najbardziej subiektywne, a wobec samego faktu *hogactwa* uczuć, dziele-

nie się na uczucia szlachetniejsze i mniej szlachetne, wartościowsze, lub mniej, — staje się rzeczą znikającą wręcz wagi.

Wobec takiego postawienia sprawy najbliższą konsekwencją będzie: zatarcie granicy między światem rzeczywistym a fikcyjnym. Z jakimś drobnym wypadkiem obecnym może się n.p. skojarzyć spłot wspomnień zamierzchniego dzieciństwa, mglistych i na wpół sennych. Skoro jednak mogą obudzić w nas żywotne i bujne reakcje uczuciowe, ich „autentyczność” nas nie interesuje. Wystarczy mi rzeczywistość — naszego wzruszenia.

Zarówno Proust, jak i Joyce uważają, że pewne nasze wątki życiowe *strzegają się* po drodze. Zużywają się, gubimy je, ażebym je kiedyś, szczęśliwym trafem, na skutek drobnego i przypadkowego zdarzenia, z powrotem odnalazł. Przypomnijmy sobie, jak to zetknięcie z jakimś twarzą w wiotrynie prowincjonalnego fotografa, doprowadza nas na cały tor przeżyć, który

gdzieś tam w przeszłości naszej się urwał i — został. To dało Proustowi powód do wprowadzenia koncepcji „*serii czasowych*”: czas *nie* jest jednowymiarowym, ciągłym nurtem. Ale *obok* siebie żyją w nas różne czasy, z których jedne na jakiś okres się gubią, ustępując innym. W tym samym duchu mówi też Maria Reiner Rilke o „*Zeitfalte*”, o fałdzie czasu, który skręcił gdzieś w bok i skrył się. (U nas Bruno Szule nawiązuje wyraźnie do tej idei prężności i podzielnosci czasu.)

Ale czas ten ma jeszcze odegrać tu inną rolę. Skoro odpadliśmy od rzeczywistości, rezygnujemy też z jej pór, pauz i interwałów. Oto rzeczy t. zw. ważne mogą zajmować naszą uwagę bardzo krótko, podczas gdy drobiazg, wydułża się niepomierne, płata każdą chwilą na sto części, rozrasta się po drodze od tych i innych wspomnień i subtelnych refleksji. Mamy tu coś w rodzaju filmu a relenti, — a zastanawiano się już przecież nad filozoficz-

na wagą zwolnionego i odwróconego filmu. W tym pierwszym podkreślano ważną cechę: pokonania tempa życiowego, pokonanie istotnego czynnika mechanizmu życiowego. A więc znowu — *odwrót* od rzeczywistości tej, jaką ustala życie społeczne, skupione dookoła osi działania, akcji, skupiania społecznych wartości.

Yoyce w swoim „*Ulyssesie*” osiąga już tak daleką niezależność od tej rzeczywistości, że wobec pewnej opowieści, będącej religijną fikcją, zatracają się najkonkretniejsze i najbliższe zdarzenia. Stają się prochem wrażeń, momentalnych, ulamkowych, które giną wobec wyrazistości i stałości tamtej fikcji.

Powieść współczesna zajęła dwa przeciwległe diamentalnie przeciwne sobie szczyty: skrajny indywidualizm, i ścisły związek z rzeczywistością społeczną. Zarówno pierwszy, jak i drugi typ stworzyły sobie własny system formalnych środków. W powyższych kilku przykładach widzieliśmy, w jaki sposób zasadnicze kategorie naszego myślenia, jak n.p. czas, zostały podporządkowane pierwszemu z tych typów: indywidualizmowi. Niedawno, na marginesie uwag prof. Kridla o kompozycji powieściowej, przy omawianiu pewnych aktualnych powieści polskich, uskarżał się Karol Irzykowski na luźność ich budowy, brak wyraźnego kośca i pamiętnikarską bezpostaciowość. Wydaje mi się, że powyższe cechy nie są uchybieniami pisarskiego warsztatu, ale wiążą się z światopoglądową postawą odnośnych autorów, postawą, która najdoskonalszy swój wyraz artystyczny osiągnęła w powyższych przykładach. Luźna nie będzie powieść, która wciela aktywne, dynamiczne pierwiastki swojego okresu. Wtedy nabiera ona prężności wewnętrznej, jakiej używają jej sprzeciwnicy wewnętrzne okresu i woła wyjścia poza nie nasileniem dialektycznym. Inaczej: przed „*czasem społecznym*” ucieka się w „*czas pamiętnikarski*”, w jego niespokojne wiry osobiste, pełne często pięknych kształtów i przeczuwań, ale skazanych zarazem na ową, wzmiankowaną wyżej — *luźność*, która jest najczęściej wynikiem wykulturowanego i arcysubtelnego — maruderstwa...
ITER.

LOLA SZERESZEWSKA

Strach

Zawarczą gromy podziemne pomrukami drażnionych zwierząt.
Nasroży się ziemia zmarszczkami gniewem spiętrzonych fałd.
Wytryśnie lawą spienioną, skręconym cielskiem najczy,
Wzgardliwie strzępnie z powierzchni stos ludzi, maszyn i skal.

Zatrzeszczą lasy żywiczne w szczękach krwiozerczych płomieni.
Przepalą się jak zapalki sosny słoczone jak wal,
Pochodnią smolną zapachną od czubów aż po korzenie,
W chmurę się czarną obróca lasy zwęglone na miar.

Ocean z brzegów wyplynie płaski jak płazy zielone,
Lub wieją w górę wystrzeli, czarny i śliski jak wąż.
Syreną rżącą okręty zwalami piany miazdzone,
Przedśmiertne skargi zatoną w wirach pijanej mgły.

Człowiek obala człowieka, dusząc chciwymi płacami,
Nawzajem ciężko się dławią w obręczach splątanych rąk,
Grzech zwolna w ciałach dojrzewa, śmierć rośnie w nas niespodzianie,
A strach co raz węższym pierścieniem w stalowy zamyka nas krąg.

Niebezpieczeństwo się czai nawet w wiosennych obłokach,
Niewinne śnieżne rozgwiazdy w lawin zlepiają się kłęb,
W wody najmniejszej kropelce mór niewidzialnym lśni okiem,
I w każdej chwili, jak oszczep tkwi Ostateczny Sąd.

Pitigrilli Paryża

Henry de Montherlant. DZIEWCZETA — przełożył Waclaw Rogowicz. — Rój, 1937).

Szanując zastrzeżenia autora, który z takim naciskiem podkreśla w wstępie do swej książki, aby nie identyfikować go z osobą literata Piotra Costy, bohatera powieści, zgodzimy się przykleić ową etykietę „*Pitigrillo Paryża*” panu Costa, nie panu Montherlant. Jest to pisarz — ciągle pan Costa! — niewątpliwie inteligentny, wnikliwy, a raczej podpatrujący przez dziurkę od klucza tajemnicy psychologii, ale umiający ze swych spóstrzeżeń przyrządzić smaczną i pieprzną potrawę, podlaną sosem pikantierii niefalszowanej paryskiej. Ilość bitych nakładów jest przekonywującym dowodem, że potrawa ta przypadła do smaku publiczności.

Pan Costa — nie, tu już pan Montherlant — hołduje paradoksowi. Paradoks jest jego bożkiem, któremu stawia zgrabne acz kruche ołtarzyki, poświęcając często logikę struktury dla olśnienia bliskim fajerwerku. Powieść „*Dziewczeta*” jest to właściwie rodzaj dziecinnej lamigłówni, gdzie kłocki pod nazwą „*mężczyzna*” i „*kobieta*” ustawia się w rozmaitym porządku, w różnych konfiguracjach, pod coraz to innym kątem. I cały trzon powieści, oparty na korespondencji, z wkładkami z notatnika i z nielicznymi uwagami autora jest tylko jak gdyby komentarzem do tych igraszek kłockami z lamigłówni.

Bo w gruncie rzeczy nie trzeba aż dwustu osiemdziesięciu czterech stron, aby dowiedzieć, że mężczyzna, przystojny, inteligentny, wybredny i otrząskany w żądnej zdobyczy donżuanerii, mając do wyboru trzy kobiety, z których jedna jest dewotka ze skłonnością do egzaltowanych wizji, druga brzydka, źle ubrana, ale zato nieprzystająca zadreżać się samoanalizą prowincjuszka, trzecia zaś młoda, śliczna i wysoce małowarna, — co autor gotów jest jej poczytywać za szczególną zaletę! Paryżanka — wybiera właśnie tę trzecią. W tym nie ma nic nowego i nie osobliwego, że w rozgrywece o serce mężczyzny pierwsze miejsce otrzyma nie kobieta „*wartościowa*”, lecz właśnie — ładna. I sam autor wypowiada się z rozbrajającą prostotą: „*Historia Andrei da się zamknąć w jednym zdaniu, które byłoby dobrym tytułem do lekkiej komedii: „Wystarczyłyby, żeby była ładna”.*

Zaznaczyć należy, że autor znakomicie upraszcza sobie zadanie: Andrea ze swą gadatliwością, brakiem rezerwy, potrzebą ustawicznego dokonywania bilansów, z niewyżytym kompleksem lat trzydziestu, domagającym się jaknajszystszej

i jaknajwznieściejszej sublimacji, jest krótko mówiąc, nieznośna. Potrafiłaby uprzykrzyć życie mężczyźnie, który dałby jej więcej, niż mógł i chciał dać pięknotuch pan Costa. Jej napieranie się szczęścia, jej szturmowanie co raz gwałtowniejsze i raz po raz, właśnie poprzez tę gwałtowność chybające celu, jej brak krytycyzmu i najfalszywsza (ale jakże kobieca, to trzeba przyznać panu Montherlant!) ocena perspektyw tak upragnionej wzajemności czynią z jej prawdziwej tragedii jakąś zasłoną i drażniącą zarazem groteskę.

Mimowoli wszakże, na marginesie tego bezlitosnego demaskowania kobiety, pan Montherlant obnaża mężczyznę. Arcysubtelny Piotr Costa wychodzi z tej walki o serce, w której musi zachować pozycję obronną przed atakami zakochanej starej panny, jako przeciwnik niebardzo fair. I mam wrażenie, że to już nie z zamierzeń artystycznych autora pan Costa ujawnia się jako mężczyzna brutalny, torturujący nieszczęsną prowincjuskę milczeniem, już to aroganckim, już to prowokującym, jako człowiek zimny i oschły, gdyż w gruncie rzeczy wodzi ją na manowce niewłaściwych interpretacji upartym naginaniem ich stosunku do ram jakiejś „*komunii dusz*”, jakiejś nie istniejącej przyjaźni między mężczyzną a kobietą, jakiegoś koleżeństwa, które nie wzrasta na realnym gruncie prawdziwej, życiowej wspólnoty interesów, lecz całe jest utkane z mglist-

tych, nie wjodomo na czym opartych frazesów. Biedna Andrea, zagrzebana na swym prowincjonalnym pustkowiu (a trzeba wiedzieć, co to jest prowincja francuska!), — przerażająca intelektualnie swe otoczenie, utrzymywana dzięki korespondencji z „*wielkim*” Costą w fałszywie wygórowanym mniemaniu co do swej osoby, brnie w tę bezpłodną miłość, jak w grzązki piach pustyni. W stosunku Costy do niej niema ani jednego odruchu ludzkiego, ani jednego zachowania się człowieka wobec człowieka — albo Andrea go niecierpliwi, albo lituje się nad nią, nie omieszkując z beceremonialną a zbyteczną szczerością powiadamiać ją o każdorazowej swej reakcji. W cichoci ducha — czego autor nie mówi już wyraźnie — pan Costa jest rad z tego jeszcze jednego listka wawrzynu, wlepionego do swego wieńca donżuan i nie chciałby z niego zrezygnować ostatecznie. Tak, jak podsyca mistyczno-miłosną egzaltację drugiej starej panny, komunikując jej o szczególnych asocjacjach, wiążących się z jej osobą w chwili zmysłowych uniesień, zaczerpniętych z „*czystego źródła*”, jakim mieni młodzieńca Paryżankę. No, tak: i tej „*źródlanej wodzie*” przy sposobności złamie życie. ona będzie kochać „*zawsze*”, on tylko „*długo*”. Nie chce angażować się na więcej bo i to jest w jego mniemaniu — dużo. O, pan Costa zna swoją cenę!...

Samolubny, zarozumiały, snob pozba-

wiony serca — i niedyskretny. Oto wizerunek współczesnego dżentelmena. Ta niedyskrecja wobec siebie i innych — przy skrzętnym ukrywaniu nazwisk kochanek! — jest cechą szczególnie odpychającą u pana Costy, i jak się wydaje, znowu mimowiednie odmalowana przez autora.

I w końcu nie wiadomo, czy to nie większe szczęście przeżyć wielką miłość w imaginacji, być wiedzianą, niedokochaną „*panną Bovary*”, żywiącą się produktami własnej wyobraźni, niż zasnąć wreszcie tego upragnionego i tak namiętnie zdobywanego tygodnia szczęścia u boku pana Costy. Bo chociaż to *ani* z korespondencji, ani z notatnika, w którym pan Costa chciałby się przedstawić jak najpochlebniej, nie wynika, wydaje się, że czarujący na odległość Piotr Costa musi być haniębnie paskudny w bliższym życiu...

Jeszcze kilka słów o książce w szacie polskiej. Pan Rogowicz jest tak pełen szacunku dla składni francuskiej, że chciałby ją za wszelką cenę narzucić językowi polskiemu. Ani przed jedną chwilę nie pozwala nam zapomnieć, że to, co czytamy, jest przekładem. Żeby trzymać się nadal ram tematu, pozwolę sobie przytoczyć dość znane zresztą przysłowia: przekład jest jak kobieta — jeśli jest wierny, to nie jest piękny, jeśli jest piękny, to nie jest wierny. Przekład pana Rogowicza jest jak owa Andrea z powieści Montherlanta.
MELANIA WASSERMANN

PAWILON SZCZĘŚLIWEGO DZIECIŃSTWA

Od wielu miesięcy przed pań z p. Schreiber-Cramieux na czele przygotowuje pawilon szczęśliwego dzieciństwa, którego budową zajęli się najwybitniejsi architekci francuscy. Szesć budynków, ozdobionych zielenią, przeznaczonych zostało na ten cel. Oto np. pawilon przyjęć: w pokoju zalanym zielenią kilka pań udziela porad z dziedzin wychowania dzieci, w jakich szkołach dzieci umieścić, do jakiego rzemiosła oddać? czy kształcić w dalszym ciągu i t. d. Prócz porad, udzielanych indywidualnie, w ogrodzie, okalającym budynek, znajduje się ruchoma scenka, na której każdego dnia odbywają się odczyty, wygłoszone przez specjalistów w dziedzinie wychowawczej. Po za tym specjalna instruktorka prowadzi codziennie ćwiczenia fizyczne z dziećmi według wskazówek lekarzy.

Inny pawilon stanowi ośrodek lekarsko-społeczny. Jest tu wiele diagramów, przedstawiających do- kładnie wszystkie francuskie zdobycze socjalne. Po-

nad to pawilon zawiera szereg pokoiów konsultacyjnych dla matek i niemowląt, jak również dla dzieci starszych i młodzieży. W przyległej sali niemowlęta, pozostawione przez pracującą matkę, są karmione, kąpane i doskonale pielęgnowane. Lecz nie tylko troszczą się tu o zdrowie dzieci — wiele miejsca poświęca się także rozrywkom. W cudnym ogrodzie posród kwiatów i egzotycznych ryb, dzieci bawią się pod opieką. Skonstruowano również wiele zabawek pouczających. Muzyka, malarstwo są propagowane wśród dzieci, przy czym każde dziecko ma prawo zabrać ze sobą do domu rzecz, przez siebie wykonaną. Jest tu jeszcze i teatr dla dzieci, którego przedstawienia odbywają się na wolnym powietrzu wśród zieleni. Przedstawienia nie są nużące; są to bowiem króciutkie bajki inscenizowane, jak również żywe ilustracje pewnych szczegółów przyrodniczych, jak np. sposobu, w jaki powstaje chmura, czy też życie i śmierć kropelki wody. W dalszym ciągu pod-

opieką ujmujących „*mateczek*” zwiedzają dzieci wystawę, gdzie oglądają akwarium, planetarium czy też pałac wiedzy. A wreszcie trzeci budynek to pawilon kobiety w ciągu wieków. Reprezentacja kobiety z jej pięknymi cechami macierzyńskimi nie powinna w niczym uczuścić jej wdzięków kobiecych. Rzeźbiarze przygotowują więc panoramę sławnych kobiet francuskich na przestrzeni wieków. Prócz tego kobieta będzie przedstawiona w wielu szczegółach swego życia codziennego, widzimy ją przed toaletą, jak dokonywa *maquillage'u*, albo gdy gra w karty, czy też plotkuje w kawiarni. Zrywając z przestarzałym rodzajem prezentowania „*królów*” piękności”, organizator tego działu, Piotr Colin pokaże najpiękniejsze kobiety w specjalnym balecie, przy czym muzyka i dekoracje będą wyłącznie tłem, służącym do jak najmocniejszego podkreślenia urody. Skoro już mowa jest o piękności, to nie należy zapominać o ozdobie. Sprawy upiększenia kobiety przy pomocy strojów kieruje słynna Jeanne Lanvin; przygotowuje ona przegląd elegancji międzynarodowej, który odbędzie się w czasie trwania wystawy. Niezależnie od tego p. Lanvin przygotowuje cały szereg modeli, z których każdy będzie umieszczony w specjalnie do tego celu skonstruowanej ramie.

CZYTAJ CIE
I ROZPOWSZECHNIJ CIE
„STER”

PUSZKIN PO ŻYDOWSKU
Nakładem „*Literarische Bleter*” ukaże się w najbliższym czasie tom przekładów wierszy Puszkina pt. „*Fun Puszkins lirik*”, pióra młodego poety żydowskiego Naimana...
OPATOSZU O PALESTYNYE
Ukazała się książka J. Opatoszu o Palestynie pt. „*Cwiszen jamen un lender*”. O książce tej niebawem obszerniej napiszemy.

„PAMIĘTNIK JEREMIASZA CHANKINA”
Znany talentowany poeta żydowski, Jehuda Lis napisał powieść pt. „*Dos Togbuch fun Jeremijahu Chankein*”. W powieści swojej zobrazował Lis martyrologię współczesnej młodzieży żydowskiej.
ROZSTRZYGNIECIE KONKURSU NA WIERSZ O KSIĄŻCE.
Związek Księgarzy Polskich ogłosił w połowie ub. r. konkurs na wiersz o książce.

Konkurs ten rozstrzygnięto obecnie Nagrodę I (zł. 100) przyznano p. Zenonowi Koterba — Dziubanowi z Cieżkowic koło Torszowa (godło „*Podkowa*”) za wiersz „*Narodziny książki*” Nagrodę II (zł. 75) — dr. Kazimierzowi Lewandowskiemu ze Lwowa (godło „*Baboško*”) za wiersz „*Wiersz o książce*”. Nagrodę III (zł. 50) — p. Loli Szereszewskiej z Warszawy (godło „*Hierogli*”) w wiersz „*O książkach*”. Skład sądu konkursowego stanowili Antoni Bogusławski, Stanisław Miłazewski i Kazimierz Wierzyński.

ZBIOROWE PISMA Z. SZNEURA.
W związku z 50-letnim jubileuszem świętego pisarza hebrajskiego Z. Szneura, ukaże się w najbliższym czasie zbiorowe wydanie jego pism.

D. H. LAWRENCE — HITLEROWCEM?
W Paryżu ukazała się książka Ernesta Seilliera pt.: „*D. H. Lawrence et les septentes ideologies allemandes*”. Z książki Seilliera okazuje się, że Lawrence przez swoje ataki na inteligencję, jako władzę niszczącą pierwotne siły życiowe — bliski jest ideologom narodowego socjalizmu. Książka ta wywarła na krytykach hitlerowskich duże wrażenie.

CELINE O SEMMELWEISSIE I — KOMUNIZMIE

Nakładem firmy wydawniczej Denoel i Steele w Paryżu ukazał się nowy tom prozy F. L. Celine'a. Przynosi on mocno krytyczne wrażenia z podróży do Rosji Sowieckiej i studium o znakomitym lekarzu wieńskim, Żydzie z pochodzenia, F. Semmelweissie, genialnym odkrywcy mikrobów gorączki połogowej.

MARIO PUCCINI O CZERNICHOWSKIM
W tygodniku literackim „*Ambrosiana*” ukazał się dłuższy artykuł wybitnego krytyka włoskiego Mario Puccini, poświęcony twórczości poetyckiej Saula Czernichowskiego. Autor artykułu podkreśla wielki talent poety hebrajskiego i podnosi jego zasługi dla odrodzenia języka hebrajskiego.

NOWE REPORTAŻE O PALESTYNYE
Nakładem Wydawnictwa Współczesnego ukazały się dwa tomy niezwykle ciekawych reportaży Ladislava Farago'a, korespondenta pism angielskich, o ostatnich wydarzeniach w Palestynie. Tytuły tych tomów brzmią: „*Palestyna na widowni*”, „*Palestyna płonie*”.

KSIAZKA WYBITNEGO ARCHITEKTA.
Le Corbusier, jeden z reprezentatywnych architektów naszej epoki, zebrał ostatnio i wydał szkic podróźnicze, nawiązujące głównie do jego naczelnego przedmiotu zainteresowania: architektury. Forma „*podróżnicza*”, obrana przez artystę wypadła bardzo szczęśliwie, zważywszy, że twórcza ekspansja Le Corbusiera nie mogła się na stałe przywiązać do jednego miasta i zmuszała go kilkakrotnie do porzucenia miejsc o ograniczonych możliwościach realizacyjnych. Książka Le Corbusiera nosi tytuł: „*Quand les cathedrales etaient blanches*”.

ANTENA ŚWIATA

Dynastia Kruppów

Rok 1599, rok zarazy. Mała miejscina niemiecka Essende dziesiątkowana jest przez czarną śmierć. Jeden tylko człowiek umiemy wyszukać tę okoliczność i kupuje za parę zaledwie talarów ogromne obszary za miastem. Jest to handlarz win Arndt Kruppe, protoplasta dynastii przemysłowej Kruppów. Syn jego Anton żeni się z p. Krösen, pochodzącą z rodziny handlującej bronią — i oto zamienia on handel win na handel bronią. Poprzez cały wiek XVII i XVIII, Krupowie trwają przy tym handlu. Dopiero w 1811 Fryd. Krupp zakłada w Essen skromną hutę stalową pod nazwą „Gusstahl Fabrik Fried Krupp”, której 125 rocznica istnienia przed paru miesiącami święciła III. Rzesza. Przy tej okazji Gustaw Krupp von Bohlen i jego żona zostali zaszczycony godnością honorowych obywateli miasta Essen.

W roku 1811 Essen należy do księstwa Berg i jest administrowane przez Murata. Fryd Krupp nawiązuje b. szybko przyjazne stosunki z okupantami francuskimi, dla których pracuje wiernie aż do upadku Cesarza. Wtedy natychmiast stara się nawiązać stosunki z nowymi panami — prusakami, ale bezskutecznie. Jego jedyny syn, Alfred, przyszły „król armat”, ma zaledwie 14 lat, gdy umiera Fryd. Krupp, zostawiając synowi w dziedzictwie zbankrutowane przedsiębiorstwo.

Tymczasem zbliża się r. 1833—4; zniesione zostają bariery celne pomiędzy krajami niemieckimi. Krupp kupuje swoją pierwszą maszynę parową. W r. 1833 — 11 robotników pracuje w fabryce i produkuje 5 tys. funtów stali, w 1835 już 67 rob. produkuje 50 tys. f. Agenci Kruppa zwiedzają obce kraje.

Wybijają właśnie wówczas godzina armat. Bismarck w zatargu z parlamentem wygłasza w 1862 r. swoje słynne przemówienie: „nie przez przemówienia i decyzje większości zostaną rozstrzygnięte wielkie zagadnienia nowych czasów, tylko po przez krew i żelazo (durch Eisen und Blut)”. I rzeczywiście zbliża się okres konfliktów: r. 1863 — powstanie styczniowe w Polsce, w 1864 — wojna austro-pruska z Danją, wojna wewnętrzna w St. Zjedn., 1865 — interwencja Francji w Meksyku, 1866 — wojna włosko-pruska przeciw Austrii, 1870—71 wojna francusko-pruska, 1875 — wojna na Bałkanach, 1877 — wojna rosyjsko-turecka. A armaty Kruppa stają się symbolem epoki, „krwi i żelaza”. Kiedy w 1887 r. Fritz Krupp wstępuje na esencki „tron” fortuna rodziny przekracza sumę 100 milionów Mk.

I rzecz ciekawa: Niemcy opowiadają legendy o patriotyzmie Kruppów. A tymczasem Alfred Krupp wśród 35 odznaczeń, miał obok orła pruskiego — czerwoną wstążkę Legii Honorowej, wielki Krzyż hiszpański zasługi wojskowej, order rosyjski S. W. Anny z brylantami, order belgijski Leopolda, koronę włoską, japoński order wschodzącego słońca i wiele, wiele innych. A w zamku jego zgromadzona jest niezliczona liczba pamiątek, ofiarowanych mu przez wysoko postawione osobistości cudzoziemskie w dowód wdzięczności za usługi, oddane innym krajom, po za Prusami. Na liczbę 24,576 wykonanych za jego życia armat zostało 10,666 pozostało w kraju, 13,910 zostało sprzedanych obcym...

Ciekawe są stosunki Kruppa z Francją. W 1847 kończy właśnie Krupp swój model pierwszej armaty stalowej i zawozi go do Paryża, korzystając z tamtejszej wystawy międzynarodowej. Tak samo czyni w r. 1867, nie licząc się absolutnie z zatargiem prusko-franc. z powodu Luksemburgu. Ale eksperci francuscy wydają opinię nieprzychylną. W 3 lata później armaty uznane za „niedoskonałe” — bombardują Paryż...

F. Krupp kieruje przedsiębiorstwem aż do 1902 r. — wyciągając wielkie korzyści z imperialistycznej polityki Niemiec. W Essen i Kiel, gdzie zakupił warsztaty okrętowe Germanii, powstaje na żądanie Wilhelma II i Tirpitz wielka marynarka wojenna. Jego majątek szacowany w 1895 na 119 mil., sięga już w r. 1902 — 187 mil. Mk.

Magnat pruski staje się przyjacielem cesarza, zasiada w Reichstagu i piastuje cały szereg innych godności. Lecz „Vorwaerts” organ socj. niem., mszcząc się za straszliwe ataki Kruppa na socjal-demokrację, ogłasza szczegóły z jego życia prywatnego, kolidujące ze słynnym 175 art. niemieckiego Kodeksu Karnego. 22. 11. 1902 po kilkudniowej kampanii, popełnia F. Krupp samobójstwo, otoczone wówczas mgłą tajemnicy. Jedyna dziedziczka tych dóbr 16-letnia Berte poślubia w 1906, na żądanie cesarza, dyplomata niemieckiego Gustawa von Bohlen i Halbach, „albowiem ciężkie berło stało nie może pozostać w słabych dłoniach kobiecych”. Von Bohlen na wyraźny rozkaz cesarski przyjmuje nazwisko Krupp.

Nowy władca zjawia się w doskonałym okresie, jest to bowiem okres wielkich zbro-

jeń niemieckich, przynoszący koncernowi wielkie korzyści. W 1913 Krupp ze swoimi 283 mil. Mk zajmuje pierwsze miejsce wśród milionerów niemieckich (Wilhelm II szóste miejsce—140 mil.). Warsztaty Kruppa wciągają się rozwijają, aż w 1917 r. zatrudniają już 150 tys. robotników. Lecz zbliża się r. 1918 a z nim traktat Wersalski, zabraniający wyrobu armat. Krupp fabrykuje więc co się da, poczynawszy od wielkich lokomotyw aż do sztucznych zębów z bielojnej stali. Ten okres niepomysłności dla dynastii Kruppów trwał zaledwie 15 lat. Zjawił się Adolf Hitler i znów zawrzało w kruppowskich warsztatach. Nie napróżno Krupp von Bohlen finansował ruch narodowo socjalistyczny. — Niemcy nazistowskie przywróciły dawną świetność miastu Essen.

„Armaty zamiast masła” — czyż może istnieć wspanialsza formuła?

I Krupp w 1934 r. proklamowany „kierownikiem gospodarki niemieckiej”, nie może marzyć o niczym wspanialszym.

Słynna niemiecka noc św. Bartłomieja z dn. 30 czerwca 1934 była zwycięstwem przywódców przemysłu nad iluzjonistami lewego skrzydła partii. Dopiero wtedy ustalono normalny stan. Teraz każda decyzja polityczna przynosiła korzyść dynastii esenckiej: ogłoszenie obowiązkowej służby wojskowej, okupacja Renu, uzbrojenie kraju i t. d., i t. d. W r. 1935 inwestycje w zakładach Kruppa wynoszą 40 mil. mk., więcej więc, niż w każdym roku wojny. Personalnie składa się z 90 tys. robotników, jest to armia pracowników wojskowo zorganizowana i podlegająca silnej dyscyplinie, wiosną 36 r. ogłoszono w Niemczech, że „interesy prywatne firmy Krupp najzupełniej się pokrywają z potrzebami gospodarstwa wojennego”. W tym samym czasie przybywa Hitler do Essen, gdzie przemawia w tym duchu do tamtejszych robotników.

Burza nad Austrią

Manifestacje nazistowskie w Wiedniu na cześć von Neuratha zostały starannie przygotowane

Habicht, inicjator puczu z 25 lipca i zabójca Dollfussa, był ich reżyserem.

Przybył on potajemnie do Wiednia na trzy dni przed przyjazdem ministra, dał rozkaz zmobilizowania wszystkich „brązowych” w całej Austrii, którzy w czasie przejścia pp. von Neuratha i Schuschniga wołać mają „Heil Hitler”.

Około 5 tys. nazi przybyło do Wiednia ze Styrii, 3 tys. z Tyrolu, poza tym wiele setek ludzi z innych dzielnic kraju. Koszty podróży zostały im zwrócone oraz wypłacono po 30 szyl. na głowę na kosztą pobytu we Wiedniu. W stolicy nazisci zabrali się do werbowania klakierów, płacąc im po 2 szyl. i butelkę wina na osobę. Było ich wszystkich razem conajmniej 50 tys. osób. Ale 50 tys. ludzi, podlegających surowej dyscyplinie „pod przewodnictwem” zuchów, na wszystko przygotowanych, to nie drobiazgi... Jak to więc się stało, że policja wiedeńska niczego się nie domyślała? Patriotci wiedeńscy oskarżają wyraźnie o współudział kilku wyższych urzędników administracyjnych, m. in. dr. Kaspra, który w czasie zabójstwa Dollfussa także odgrywał dwuznaczną rolę. Poza tym członkowie rządu Gleise von Horstenau i Neustädter—Stürmer są zdeklarowanymi zwolennikami przyjaźni z Niemcami.

Kancelerz chciał ich się już raz pozbyć z rządu, ale musiał ich zostawić na wyrażne życzenie prezydenta Miklasa, który stał się również zwolennikiem współpracy z Berlinem.

Po „plebiscytowej” manifestacji na ulicach Wiednia nastąpił rodzaj ultimatum dla kancelerza, wypowiedziany przez usta von Neuratha. Hitler zgadza się tolerować gabinet von Schuschniga pod następującymi warunkami: 1) Całkowita wolność dla propagandy nazistów, 2) wyeliminowanie z rządu ministrów przychylnych restauracji, 3) przyniesienie „kulturalne” pomiędzy Austrią i Rzeszą. Schuschnigg oczywiście tych warunków nie przyjął. Po wyjeździe gościa zwołał posiedzenie „frontu patriotycznego”, na którym oświadczył, że nie ma już sił do walki, ostatnia jego próba — to podróżyć do Rzymu i rozmowa z Mussolinim. Lecz narazie kancelerz zaniechał musiał podróży rzymskiej. Albowiem, jak informuje Giornale d'Italia, Duce nie chce się przeciwstawić III Rzeszy swoim faworyzowaniem Habsburgów. Nie znaczy to, że Włochy zgadzają się na Anschluss. Ale w obecnej chwili Mussolini jest gotowy na wszystkie poświęcenia celem utrzymania „linii Berlin—Rzym”. Z chwilą odroczenia podróży kancelerza, ambasadorowie austriaccy w Paryżu i Londynie otrzymali polecenie porozumienia się z tamtejszymi rządami, mimo, że umowa włoską obowiązującą Austrię do szukania pomocy dyplomatycznej poza Anglią i Francją.

Zbrojenia angielskie

Wiadomość o zbrojeniach angielskich została w St. Zjedn. przyjęta przychylnie. Oto, co pisze New York Times:

„Program morski Brytanii jest ogólnie zrozumiały i pochwalany. Nasuwa on jednakże Amerykanom refleksje z zakresu własnych zbrojeń, kiedy stosunki między St. Zjedn. a Japonią ucierpiałyby wielce, gdyby Ameryka poszła w ślad Wielkiej Brytanii w dziedzinie zbrojeń morskich. Trzeba więc zastanowić się poważnie: jaka winna być obecnie polityka zagraniczna floty amerykańskiej?”

Włochy natomiast wyraźnie wykazują swoje niezadowolone, czego dowodem jest artykuł Virginio Gayda w Voce d'Italia: „Nigdy jeszcze w historii Wielkiej Brytanii, ani w historii demokracji z br. państwistycznych, nie była wola uzbrojenia się ogłaszana całemu światu w sposób tak ostentacyjny!...”

I dalej — „nikt spośród narodów faszystowskich nie myśli o zaatakowaniu demokracji. Demokracja atakowana przez faszystów to fikcja i kłamstwo. Walka faszystów z komunizmem jest tylko walką obronną i w najmniejszym stopniu nie dotyczy demokracji!...”

Bez wątpienia ten wysięg zbrojeń, zapoczątkowany przez W. Brytanię, Francję i St. Zjedn. będzie musiał w konsekwencji pociągnąć za sobą odpowiedź wojskową wszystkich wielkich narodów, które nie mają złudzeń co do znaczenia tych zbrojeń.

Wielka Brytania będzie jedynie odpowiedzialna za zerwanie przyjaznych stosunków światowych.

„Prager Tageblatt” ze swej strony tłumaczy przyczyny niezadowolenia włoskiego z powodu angielskich zbrojeń:

„Włosi nie są w stanie dotrzymać kroku zbrojeniom: primo, ze względu na zły stan finansów, spowodowany wojną abisyńską, secundo, z powodu braku dostatecznej ilości materiałów pędnych dla swej floty. Tak np. cała flota wojenna funkcjonuje dzięki sowieckiej nafcie z Baku, w czasie sankcji usiłowało ją zastąpić innymi olejami, co spowodowało, że motory straciły 50% ze swej szybkości”.

Wreszcie niemieckie pisma ze swej strony grożą W. Brytanii, podkreślając, że „metoda obecna Anglia wraca do zasady polityki imperialistycznej i zarzuca ideę polityki zbiorowej”.

Ambasadorowie

Wielkiej Brytanii

W gronie licznie zebranych przedstawicieli paryskiego korpusu dyplomatycznego komentowano pewnego wieczoru majacy wkrótce nastąpić wyjazd ambasadora W. Brytanii sir Clerka i nominację sir Erica Phippsa na to opuszczone stanowisko.

A ponieważ czyniono aluzje do niezwykłego dowcipu obu ambasadorów, jeden z współbiedniadników zapytał nagle: „Czy wiecie, dlaczego Foreign Office ma zwyczaj odwoływania swoich przedstawicieli

z końcem 5. roku służby, nie zależnie od tego, jak „wielkie byłoby jego powodzenie?”

Nikt nie znalazł odpowiedzi. Pytający zaś kontynuował bez zmużenia powiek: „To dlatego, moi panowie, że Foreign Office jest zdania, iż z końcem 5 lat bankietowania każdy człowiek, choćby najdowcipniejszy, wyczerpuje zapas wszystkich swoich anegdot i dowcipnych historyjek!...”

Aparat głosowy

Dyrektor laboratorium Tow. Telephone Bell w Cambridge, Dr. Bewett, przeprowadził niezmiernie ciekawe doświadczenia nad nowym aparatem. Ten nowy aparat jego pomysłu igra głosem ludzkim, niczym zabawką. Może on głos ludzki nie tylko wzmacniać lecz potrafi także głos męski zamienić w kobiecy i odwrotnie. To jeszcze jednak nie wszystko: przekształca on sopran w bas i vice versa. Każdy śpiewak może słuchać siebie samego, śpiewającego solo albo w duecie. Ten sam głos może być równocześnie zamieniany w tenora i alt, a reprodukcja wzmacniona dwóch głosów pozwala słyszeć duet wykonany przez jednego i tego samego artystę. Wystarczy maleńkie urządzenie przyłączone do istniejącego aparatu telefonicznego, aby głos mógł być zmieniony aż do niepoznania. Wynalazek ten przynieść może wielkie korzyści w dziedzinie muzyki, ale czy nie większe jeszcze dla wszystkiego rodzaju oszustów i bieżących ptaków?

TEATR — KINO

TEATR

TEATR NARODOWY: „Fiesko” Schillera
Wystawienie „Fieska” (a raczej „Sprzysiężenie Fieska w Genui”), w ogóle niegranego w Polsce niepodległej wywołało żywy odzew wśród publiczności i krytyki warszawskiej ze względu na coraz wyraźniejszą aktualność schillerowskich tryad o demokracji i wolności. Do następnego numeru odkładamy omówienie w oddzielnym artykule tej konfrontacji idealów demokratycznych początku w. XIX z dzisiejszą rzeczywistością. Na tym miejscu chcielibyśmy tylko zająć się samym przedstawieniem teatralnym, zmontowanym przez Leona Schillera. Niestety, nie czuło się jego krótkiego pazura. Wprawdzie wedle jego zwyczajów była i muzyka i balet i scena obrotowa w ruchu, ale przy tym wszystkim nie czuło się inwencji twórczej inscenizatora, zapożyczył się gdzieś sławny jego rozmach i śmiałość w poszukiwaniu nowych i unikaniu utartych dróg. Inszenizacja była w pełni tradycyjna, konserwatywna, zupełnie naturalistyczna. Pieno schillerowskiego montażu: kubistyczne rozwiązanie przestrzeni scenicznej — nie mogło chyba zmieścić się w ramach pierwszej, narodowej sceny, która widocznie musi holdować wyłącznie bogom dnia wczorajszego Schiller nie odważył się ani na zastosowanie systemu kotarowego, zresztą już zupełnie przebrzmiałego, tolerowanego tylko w pewnych kombinacjach dekoracyjnych ani na fragmentaryczne markowanie pewnych tylko odciętych przestrzeni przy jednolitym, statycznym tle, a jedyną innowacją (jak na konserwatywnym Teatrze Narodowym) to pełne zastosowanie w ruchu sceny obrotowej. Inszenizator nie miał więc możliwości czy sposobności urządzenia sceny według własnego stylu. Muzyka (Rybickiego), balet (Wysockiej) dekoracja (Jarockiego) również zbyt fałszywie stosowanego, ograniczone w możliwościach, rozmachu i śmiałości.

Węgrzyn jako Fiesko efektywnie deklamował, poza tym czasem nawet zgrywał się dość pospolicie.
Socha, Brydziński, Luszczewski grali bardzo szlachetnie i konwencjonalnie. Jedynie Damięcki (w roli murzyna) odcinał się od normalnego tonu szaryzny i mudy; nierozdzielnych towarzyszy sceny Teatru Narodowego. Kunciewiczówna zupełnie nie podolała swej roli ani głosowo ani uczuciowo. To nieporozumienie z tą aktorką ciągnie się już zbyt długo.
Jeżeli więc przedstawienie nie udało się, a mimo to zdradza Warszawa pewne zainteresowanie dla tej sztuki, to zasługa już nie Leona, lecz Frydryka Schillera. Dziwna rzecz, kiedyś przed kilkunastu laty, stary, poczciwy Frydryk Schiller, nie przyprowadzony przez Leona, był zupełnie niestrainny. Dziś, naodwrot, Schiller Fryderyk staje się coraz aktualniejszy. Ale o tym szerzej w następnym numerze.
RUSTAN.

KINO

STYLOWY „NICPOŃ”.
Sądząc na podstawie importowanych do Polski filmów, francuska produkcja filmowa ciągle upada. Nie wiadomo, czy to, co widzimy na polskich ekranach, jest najlepszym towarem, sprowadzonym do nas. Możliwe, że nie mamy możliwości oglądania najlepszych filmów francuskich, i że nasi importerzy lubują się tylko w płaskich farsidach i operetkach.
Do tego rodzaju obrazów należy „Nicpoń”, epigońska komedycja w stylu standardyzowanych operetek amerykańskich, w których biedni amanci okazują się w końcu księżętami czy milionerami. „Nicpoń”, to młde głupstwo bez treści i sensu, mogące zaspokoić gust melodramatyczny sentymentalnej publiczki z przedmieść.
Garat postarzał się i naśladował siebie z czasów swej młonoj świętości. Daniele Darrieux czuła się nieswojo w roli nieodpowiedniej dla jej geur'u. Reżyserja Martina banalna.
S. R.

„ŻYCIE ŚWIADOME”

KWARTALNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM REFORMY SEKSUALNEJ I OBYCZAJOWEJ

W numerze 4. piszą: Ludwik Szczepański, Irena Krzywicka, Halina Krahełska, Leon Kruczkowski, Zofia Słaczkowa, Józef Litauer, Józef Kirschner, Mieczysław Steinbach, Henryk Jasiński, Felicja Stendigowa, Tomasz Karwiński.

Cena 1.— zł.
Redakcja i administracja: Kraków, Dunajewskiego 1. 7, konto P. K. O. nr 405.424. Cena w prenumeracie rocznej (4numery) 3.40 zł.
Do nabycia w administracji (również poprzednie numery) i w księgarniach.

ZAPISY NA UNIwersYTET HEBRAJSKI W JEROZOLIMIE NA ROK AKAD. 1937-38.

„Towarzystwo Przyjaciół Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie” przypomina wszystkim zainteresowanym, że zapisy na Uniwersytet Hebrajski kończą się dnia 15 marca rb. Termin zapisów nie ulegnie przedłużeniu.

Zaleca się kandydatom, dla ich własnej wygody, niezwleknie ze składaniem papierów do ostatniego dnia.

Nowa broszura informacyjna na rok akademicki 1937-38 jest do nabycia w Centrali „Towarzystwa Przyjaciół Uniwersytetu Hebrajskiego” lub w oddziałach prowincjonalnych (Cena broszury wynosi 1.— (jeden) złoty w znaczkach pocztowych lub na P.K.O 8937)

Podania na Uniwersytet Hebrajski należy składać wyłącznie w Centrali „Towarzystwa Przyjaciół Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie” lub w oddziałach prowincjonalnych.

CENTRALA TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ UNIwersYTETU HEBRAJSKIEGO W JEROZOLIMIE MIEŚCI SIĘ W WARSZAWIE PRZY ULICY ORLEJ 11.
Tel. 11-22-61.

Biuro Towarzystwa czynne dla interesantów w godzinach 11—3 pp. codziennie prócz sobót.

PAN — „OGRÓD ALLACHA”

Rozwlekły, nudny film o niezrozumiałym dramacie uciekiniera z klasztoru Trapistów i niewytłumaczonym jego konflikcie z światem — razi swą bezdusnością i naiwnym rozwiązaniem zagadnień. Jeszcze jedna próba kolorowego filmu nie wydaje się udana. Kolory, aczkolwiek mniej rażące, niż w poprzednich filmach — muszą po pewnym czasie, a twarze ludzi nadal są bardzo nienaturalne. Jedynie naturalne kolory podnoszą i nadają charakteru widokom pustyni, malowniczym karawanom i barwnym miasteczkom arabskim.

Charles Boyer — ten nieprzeciętnie zdolny i inteligentny aktor — w roli widaka bardzo mu nie odpowiadającej, jest drewniany i bez wyrazu, (oprócz jednej bardzo dobrej sceny w kabarecie arabskim). Marlena „na kolorowo” wygląda jak reklama jakiejś firmy kosmetycznej, i poza pięknymi tuletami nic ciekawego nie pokazuje.
T. S.

CASINO — „SAM NA SAM”

Film Gely von Bolvary przypomina nam, po dłuższej zresztą przerwie, że produkcja wiedeńska zdobyć się może na coś więcej, niż masowo produkowane komedijki, wielokrotnie przerabiane i zawierające prawie zawsze ten sam komizm sytuacyjny.

„Sam na sam” — to naprawdę nie „Maskarada”, ani „Epizod” — ale w każdym razie jest to obraz, mocno odbiegający od normalnej przeciętności wiedeńskiego filmu. Zwarta, logiczna konstrukcja, dobre tempo oraz staranna i inteligentna reżyserja pozwalają zapomnieć o pewnych niedociągnięciach i „nawrostkach” scenarjusza. Ale ponad wszystkim dominuje i wszystko przesłania gra Pauly Wessely — jej mieladna, a tak ujmująca swą wyrazistością i inteligencją twarz, subtelność i głęboka wnikliwość jej gry — przykuwają od pierwszego momentu widza i z naprzemienną każą mu śledzić losy jej Juliki — prostej dziewczyny wiejskiej o mądrym kobiecym uśmiechu. Podkreślić należy, z punktu widzenia rzemiosła filmowego, czystą i precyzyjną fotografię, oraz umiejętnie oddany pejzaż, który stanowi odpowiednik i ilustrację psychicznych przeżyć bohaterów. Nadprogram — doskonała kreskówka kolorowa Fleischer'a „Kubuś na wyspie Sinbada”, o cudownych, soczystych kolorach — pokazuje pełne żywiołowego temperamentu przygody najsympatyczniejszego „zjadacza szpinaku”.
T. S.

REPERTUAR TEATRÓW WARSZAWSKICH

Narodowy: „Fiesko” Schillera
Polski: „Wesele Figara” Beamaschais
Letni: „Jutro niedziela”
Maly: „Lato w Nohant” Iwaszkiewiczza
Nowy: 3... 6... 9... Durana
Ateneum: „Ludzie na krze” Wernera
Malickiej: „Zamieszaj” Hertzza
Kameralny: „Tajemnica lekarska”
Scala: „Kobieta dla wszystkich”
Nowości: „Na warszawskim jarmarku”
Młoda Scena: Jidisze Bande (rewia)